



Przełożyła Maria Orłoś

## ROZDZIAŁ 1

Lessie Howell szybko włożyła przez głowę sztywno wykrochmaloną bladoniebieską bawełnianą sukienkę, zapięła zamek i potrząsnawszy głową rozrzuciła wokół ramion swe granatowoczarne włosy. Rozczesała je energicznie, potem upięła w gładki, połyskujący koczek z tyłu dumnie uniesionej głowy.

Był czas, że marzyła o trwałej: chciała mieć na głowie krótko przystryżone loczki. Teraz zdawało jej się, że od tamtego czasu minęły wieki. Tak było, zanim jeszcze ojciec, orząc traktorem pole na stromym zboczu, dostał się pod koła i zginął. Zanim, wkrótce potem, matka rozchorowała się i umarła. Lessie musiała przyjechać do domu i zająć się młodszym rodzeństwem.

Potem nie miała już nawet czasu wspominać tych dni, kiedy mieszkając u ciotki w Laceyville chodziła do szkoły średniej, by zdobyć wykształcenie, które matka tak bardzo pragnęła zapewnić wszystkim swoim dzieciom. Lessie musiała porzucić nadzieję skończenia szkoły w czerwcu, razem z całą klasą; zaraz po Święcie Dziękczynienia przyjechała zaopiekować się czworgiem rodzeństwa na liczącą sobie przeszło sto lat rodzinną górską farmę. Od tej pory lata mijały niepostrzeżenie; dni wypełnione były w całości ciężką pracą i troskliwą opieką nad dziećmiakami.

Było bardzo wcześnie rano — jeszcze przed piątą — kiedy zbiegała po schodach do kuchni. Rozpoczął się rzeźki, chłodny majowy poranek.

Przygotowawszy dla całej gromadki śniadanie, energicznym krokiem ruszyła w kierunku tylnych drzwi, przekręciła klucz i otworzyła je na oścież. Siedzący na schodkach przed drzwiami mężczyzna z fajką podniósł się z uśmiechem.

— Strasznie długo sypiacie — zaśmiał się.

— Ben! Cóż ty tu robisz o tej porze — zdziwiła się, rozczulona, jej twarz pokrył lekki rumieniec.

— Co miałbym robić? Czekam na śpiochów, aż się obudzą i raczą zaszczycić mnie swoim widokiem — żartował Ben. Dobrze wyglądał w mundurze leśnika: wysoki, szczupły, szeroki w ramionach. Podszedł do ławki przy studzience i podniósł z ziemi wiadro wypełnione po brzegi spienionym mlekiem. — A przy okazji chciałem się trochę przysłużyć.

— Naprawdę, Ben, kochany jesteś — Lessie spojrzała na niego z wdzięcznością.

— Oczywiście, że jestem kochany — odparł skromnie. — Powtarzam ci to przecież od lat. Może w końcu kiedyś mi uwierzysz.

Lessie uśmiechnęła się do niego z czułością.

— Ja tylko udawałam, że nie wierzę — odparła wesoło. — Wiedziałam to już, kiedy nosiłeś mi teczkę do szkoły i rozprawiałeś się z chłopakami, którzy mnie ciągnęli za warkocze.

Ben postawił wiadro na starym stole przy oknie i Lessie zaczęła ostrożnie przecedzać mleko. Patrzył na nią, stojąc z założonymi rękami, oparty o ścianę, jakby poczytywał sobie za wyjątkowy przywilej obserwowania jej zwinnych, pełnych nieświadomego wdzięku ruchów.

— Zdradzę ci pewien mały sekret — zaczął poufnym tonem. — To były tak cudowne mysie ogonki, że zazdrościłem chłopakom, bo sam bym chętnie pociągnął.

Lessie parsknęła śmiechem.

— Nigdy w to nie uwierzę; byłeś zawsze szlachetny. — Przykrywała właśnie czystymi, białymi ściereczkami z gazy dwa duże brązowe garnki, do których wcześniej rozlała mleko. Gdy skończyła, Ben zabrał je ze stołu i zaniósł do spiżarni, gdzie stać miały w chłodzie i ciemności.

— Jesteś na nogach od świtu, musisz być zmęczony — stwierdziła Lessie, kiedy wrócił. — Siadaj i napij się kawy, ja tymczasem przygotuję coś do jedzenia.

— Mógłbym nawet wcale się nie kłaść, gdybym zawsze miał w perspektywie wspólne śniadanie — odparł cicho, sięgnął dłonią po jej rękę i przycisnął do swego policzka. — Kiedyś, Lessie — kiedyś w końcu. Ale, na Boga, niełatwo tak długo czekać.

Lessie pochyliła się nad nim, przytuliła twarz do jego włosów, wolną ręką objęła go, przycisnęła mocno do siebie. — Wiem, wiem, kochanie — wyszeptwała z wyrazem smutku w szarych oczach, w kącikach pięknych, delikatnych ust. — Ale przecież dzieciaki...

— Dzieciaki i matka niewidząca na oczy, i Delsie mająca jeszcze rok szkoły, zanim będzie mogła uczyć, i przy tym wszystkim nikogo do pomocy... — Zamilkł i siedział przez chwilę nie odzywając się; serce Lessie przepełnił ból.

Ben przyciągnął do siebie jej twarz, pocałował ją z czułością i uśmiechnął się — bardzo jednak nieprzekonywująco.

— Cóż, jesteśmy jeszcze młodzi — starał się nadać głosowi lekki ton.

— Mam dwadzieścia trzy lata, Ben — wyrwało jej się mimo woli.

— A ja dwadzieścia osiem — przyznał, ale zaraz znów zmusił się do uśmiechu. — Para zniedołężniałych staruszków: najwyższy czas pomyśleć o emeryturze.

Czuła, że nie jest mu w tej chwili do śmiechu — podobnie jak jej — i wiedziała, jak bardzo się stara udawać beztroskę; spróbowała więc i ona zbagatelizować bolesny temat.

— Nie jest tak źle. Nie mamy siwych włosów i nawet mało zmarszczek: jakoś to będzie — roześmiała się i podniosła głowę. — Jedz lepiej, bo ostygnie.

Skinął głową i rozgrzebawszy widelcem kupkę kaszy zmieszał ją z czerwonym szynkowym sosem, po czym z nieukrywanym apetytem zabrał się do jedzenia.

Ale Lessie, siedząc naprzeciwko niego i jedząc swoje śniadanie, widziała, że ponurość w oczach, zmęczenie na twarzy, wciąż nie znikają. Wiedziała, że jest to raczej wyczerpanie duszy niż tego zdrowego, silnego ciała, i cierpiała patrząc na niego.

— Za parę dni będzie chyba na waszej drodze znowu spokój — odezwał się Ben po chwili, zaspokoiwszy głód. — Słyszałem, że do końca tygodnia mają skończyć ostatni odcinek autostrady; nie będzie już potrzebny objazd.

— Czekam na ten dzień od ponad sześciu miesięcy — odparła Lessie. — Nie wiedziałam nawet, że w ogóle istnieje tyle samochodów, ile każdego dnia tędy przejeżdża.

Ben uśmiechnął się. — I klną przy tym na czym świat stoi, że każe im się zdierać opony szalowych jankeskich gablot na takich wybojach.

— Trudno im się dziwić: daleko naszej dróżce do autostrady. — Lessie odwróciła głowę i spojrzała w okno na wąską, krętą, ubitą z ziemi i kamieni drogę, która pięła się pod górę, potem spadała w dół aż do tamy zbudowanej w dolinie rządową decyzją — przyczyny niepokojących zmian w tym tak spokojnym do tej pory zakątku.

Ben przyglądał jej się z powagą; było teraz coś dziwnego w wyrazie jego brązowych oczu.

— Mieszkałaś przez jakiś czas w mieście, Lessie — zaczął nieoczekiwanie — czy nie myślałaś nigdy o tym, żeby tam wrócić?

Spojrzała na niego szerokimi ze zdziwienia oczyma.

— Zamieszkać w mieście? Boże, Ben, nigdy! Nie wytrzymałabym. Jestem góralką z krwi i kości. Urodziłam się tu i wychowałam. Nie mogłabym żyć gdzie indziej.

Ben uśmiechnął się do niej czule, delikatnie; poczuła wzruszenie.

— Ja czuję tak samo — przyznał się. — Trzeba się chyba urodzić w górach, żeby naprawdę je poznać i nauczyć się je kochać.

— Tak jak my — powiedziała cicho; ścisnęli się mocno za rękę.

## ROZDZIAŁ 2

Na górze rozległ się głuchy łomot, potem krzepki, chłopięcy głos zakrzyknął: „Wstawać, wałkonie! Zaczyna się piękny dzień, do roboty!

Ben i Lessie wymienili uśmiechy słysząc, jak ciężki e rż ół

wyrwać się z tego jazgotu do armii! Mam nadzieję, że przynajmniej ten miesiąc, dwa będą się jeszcze bić.

— Jim! — dzieci rzadko kiedy słyszeć mogły w głosie Lessie ten ton; oczy jej płonęły.

— Ależ tak, tak, wiem, że to brzmi cynicznie — odparł. — Ale wiem też, że jest wiele miejsc, które bardzo chciałbym zobaczyć. A Lessie dostałaby dzięki temu trochę gotówki. Myślisz, że nie chciałbym odciążyć ją trochę w domu, żebyście wy dwoje mogli się wreszcie pobrać?

Lessie spojrzała na niego zaskoczona i jej opalona młoda twarz oblała się rumieńcem.

## ROZDZIAŁ 3

Było wczesne popołudnie, kiedy Lessie wyszła na tylny ganek z koszem mokrej, przygotowanej do rozwieszenia bielizny. Postawiwszy kosz na ziemi wyprostowała się i stała przez chwilę, chłonąc zachwyconymi oczyma wiosenny górski krajobraz.

— Jak można w ogóle chcieć mieszkać gdzie indziej — dziwiła się, sycąc wzrok pięknem przyrody dokoła.

Była tak zaabsorbowana, że nie usłyszała jadącego drogą samochodu i drgnęła gwałtownie na dźwięk obcego męskiego głosu. Odwróciła się.

— Przepraszam. Wystraszyłem panią? — Był wysoki, wiatr rozwiewał jego ciemno-rudą czuprynę; granatowo-zielone oczy patrzyły z zachwytem na jej postać, cudownie komponującą się z wiosennym pejzażem. — Nie przypuszczałem nawet, że góry wczesną wiosną mogą być aż tak piękne.

— Old Baldy i Big Lonesome zasłaniają nas tutaj w Wysokiej Dolinie przed największym chłodem — odpowiedziała uśmiechając się. — Dlatego wiosna zaczyna się tu wcześniej niż gdzie indziej.

— Nazywam się Angus MacDonnell — oświadczył uśmiechając się i wyciągnął rękę.

— Lessie Howell — przedstawiła się i mężczyzna z przyjaznym uśmiechem mocno uściśnął jej dłoń.

— Podziwiałem tę wspaniałą starą stajnię po drugiej stronie drogi — wyjaśnił. — Zastanawiałem się, czy przynależy do waszego gospodarstwa.

— Stajnia dziadka? Tak, owszem. Pastwisko i stajnia to część naszej posiadłości.

„Wspaniała stara stajnia”, pomyślała. Coś takiego!

— Nie chcielibyście jej wynająć? Mam na myśli lato — spytał.

— Chce ją pan wynająć? — zdziwiła się. — Na miłość boską, po co?

— Na letni teatr — odparł, obserwując z uwagą jej reakcję.

— Letni teatr? — powtórzyła zdumiona. — Tutaj, na wsi? Taki kawał świata od miasta?

— Stąd jest tylko trzy, cztery mile do tamy — zauważył. — Buduje się tam już mnóstwo domków campingowych. Ludzie przyjeżdżają z miasta na ryby; powstał nawet jachtklub i otwarto kilka nowych hoteli, a następne wyrastać będą jak grzyby po deszczu wzdłuż całej autostrady do Atlanty. Od czerwca turyści zaczną zjeżdżać się na wakacje, a nie bardzo jest tu co robić wieczorami. Łowienie ryb, łódki, pływanie to rozrywki raczej na dzień. Przekonany jestem, że dobry, profesjonalny teatr, wystawiający stosunkowo nowe broadwayowskie spektakle cieszyłby się wielkim

powodzeniem. Szukałem w okolicy jakiegoś odpowiedniego lokalu: pani szopa wydała mi się miejscem wprost idealnym. Mnóstwo miejsca do parkowania na łące, wystarczająco daleko od szosy, żeby nie docierał warkot samochodów. Teraz pozostaje mi jeszcze tylko przekonać pani ojca, żeby wyraził zgodę. Albo męża.

— Mój ojciec zmarł pięć lat temu, męża nie mam.

— Więc to pani jest właścicielką gospodarstwa?

Roześmiała się. — Tak „stoi napisane” w papierach podatkowych.

Angus rzucił szybkie spojrzenie dokoła. W okolicy nie było żadnego innego domu. Na nim — człowieku, który urodził się i wychował w przeludnionym, zgiełkliwym mieście — domostwo Lessie sprawiało wrażenie odizolowanej od świata pustelni.

— Nie powie mi pani chyba, że mieszka tutaj całkiem sama — zaprotestował.

— O, nie, bynajmniej! Jest nas pięcioro: mam dwóch młodszych braci i dwie siostry. Są teraz w szkole.

— No więc, czy mogę obejrzeć szopę? To znaczy, od środka. Jeśli, oczywiście, byłaby pani zainteresowana wynajęciem — wpatrywał się w nią wyczekująco.

Lessie przyjrzała mu się z uwagą.

— To zwykła stajnia — zaznaczyła. —



zaglądając w każdy kąt starej stajni. Tłumaczył zdziwionej, nie mogącej pojąć jego zachwyty dziewczynie olbrzymie możliwości, jakie stwarzałyby teatrowi przestrzeń stajni. Lessie, która nigdy nie oglądała żadnego przedstawienia, słuchała go bez zrozumienia, aczkolwiek z uprzejmą uwagą.

— Boże, cóż za sceneria! — westchnął Angus, kiedy stanęli przed tylną ścianą; Lessie wiedziała, że nie mówi do niej — wypowiada raczej na głos swoje myśli. — Tutaj scena, drzwi otwarte szeroko na letnią, gwiaździstą noc, księżyc i góry — Jezu, co za miejsce!

W końcu odwrócił się do Lessie; jego szarozielone oczy płonęły z podniecenia.

— Doskonałe miejsce — odezwał się wreszcie, z mieszaniną zachwyty i obawy w głosie. — Po prostu doskonałe. Nie mógłbym znaleźć nic lepszego. Teraz pozostaje jeszcze kwestia ustalenia ceny. Ile chciałyby pani dostać za wynajęcie? Powiedzmy od dzisiaj do końca sierpnia.

— Nie mam pojęcia, panie MacDonnell. To przecież stara stajnia!

— Proponuję trzysta dolarów.

— Trzysta dolarów? — Lessie otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

Zacisnął szczękę, spojrzał chłodniejszym nieco wzrokiem.

— Przystosowanie tego miejsca na teatr, panno Howell, pociągnie za sobą znaczne wydatki — zauważył. — Nie jestem bogaczem. Ale, co nie trudno zauważyć, bardzo mi zależy. Jestem w stanie zapłacić czterysta.

Zarumieniona, broniąc się, Lessie podniosła gwałtownie dłoń w geście protestu: — Na miłość boską, panie

MacDonnell, chciałam właśnie powiedzieć, że trzysta dolarów to za dużo!

Angus zmarszczył brwi, osłupiał.

— Czy chce pani przez to powiedzieć, że skłonna jest przyjąć mniej? — zapytał.

— Ależ oczywiście! Na miłość boską, żadna rodzina w Wysokiej Dolinie nie zarabia trzystu dolarów w ciągu roku! Ja nie widziałam nawet na raz tylu pieniędzy na oczy — wyznała uczciwie.

Roześmiał się; chwilowa niechęć zniknęła bez śladu pod wpływem tej rozbijającej uczciwości.

— Cóż, wydaje mi się, że trzysta dolarów za cały sezon to całkiem przyzwoita kwota i chętnie ją zapłacę, jeśli zdecyduje się pani mi wynająć — oświadczył. — No więc jak, panno Howell? Zgodzi się pani, żebyśmy na trzy miesiące zamienił stajnię dziadka w Teatr w Starej Stajni?

— Oczywiście — odparła Lessie. — Ale trzysta dolarów to stanowczo za dużo. Może ją pan wziąć za dwieście — jeśli nie uzna pan, że i to jest zbyt wiele. Jak mam być szczerą, nie sądzę, żeby była tyle warta!

Przyglądał jej się przez chwilę, potem westchnąwszy pokręcił głową.

— Zastanawiam się, jak ludzie tacy jak pani, mieszkańcy Wysokiej Doliny zmieniają się wraz z nadejściem tak zwanej „cywilizacji”. Ta pani uczciwość! Zamiast windować cenę, widząc, jak bardzo mi zależy, żąda pani kwoty o sto dolarów niższej od sumy, którą zdecydowany jestem zapłacić. To dość rzadki przypadek — nie wiem, czy zdaje sobie pani z tego sprawę?

— Ja wiem tylko, że dwieście dolarów to mnóstwo pieniędzy i gdybym wzięła więcej, byłoby to zwykłe oszustwo — stwierdziła krótko.

— Kiedy będzie pani miała chwilę czasu, żeby pojechać ze mną do miasta i podpisać u notariusza umowę? — zapytał wobec jej sprzeciwu.

Lessie, zaskoczona, spytała: — Ale po co nam do tego notariusz? Ja nie potrzebuję żadnej umowy. Ale, oczywiście, jeśli boi się pan uwierzyć mi na słowo...

— Moja droga — Angus przemówił do niej ciepło — uwierzyłbym na słowo nawet, gdyby twierdziła pani, że białe jest czarne. Uznałbym wtedy, że każdy, kto myśli inaczej, musi być w błędzie.

Angus poszedł od razu poszukać stolarzy, drewna i innych materiałów potrzebnych do przebudowy wnętrza; Lessie siedziała jeszcze przez chwilę na szerokich frontowych schodach starego domu, spoglądając na strome zbocze za drogą, po której auta przelatywały wciąż ze świstem w tumanach kurzu. Angus był zszokowany nieśmiałym pytaniem dziewczyny, o jego plany odnośnie pastwiska wokół stajni i zapewnił ją kategorycznie, że nie tknąłby ziemi za nic w świecie. To osobliwy, malowniczy pejzaż, powiedział. Lessie nie bardzo uzmysławiała sobie, jakie znaczenie dla mieszkańców Wysokiej Doliny może mieć letni teatr. Myśl natomiast o tym, ile znaczy w tej chwili dla jej rodziny dwieście dolarów — gotówką! — oszołomiła ją, wprawiła w pełną bojaźliwego zachwyту zadumę.

## ROZDZIAŁ 4

Następnego dnia około południa usłyszała na drodze warkot samochodu i wyszła przed dom powitać Angusa, który wysiadał właśnie z wozu w towarzystwie wysokiego, szczupłego, ciemnego mężczyzny w porządnie wypranych roboczych spodniach khaki i koszuli.

— Cześć, Lessie — Angus był w znakomitym humorze. — To jest Lester Dolan; kierować będzie remontem. Sprowadzi tu jutro paru ludzi: ośmiu, dziesięciu — jeśli uda się tylu znaleźć; chciałbym skończyć prace najszybciej jak to możliwe, żeby jak najprędzej zebrać zespół i zacząć próby.

— Miło mi pana poznać — Lessie zwróciła się do Dolana z uprzejmym, przyjaznym uśmiechem. — Nie mieszka pan chyba w Dolinie, bo nigdy tu pana nie spotkałam.

Przez jego śniadą pospolitą twarz przebiegł drwiący uśmiech.

— Nie, jestem z Atlanty. Przyjechałem tutaj dwa, trzy miesiące temu, bo dostałem zleconą robotę. Teraz okazuje się, że jest następna. Jak tak dalej pójdzie, to spędzę tu całe lato.

Angus spojrział na wąską zieloną dolinę, na okalające ją niebieskoszare góry i na spadający z hukiem po stromej skalnej ścianie Old Baldy srebrzysty wodospad, wyglądający z tej odległości jak cienki biały welon.

— Nie jest to chyba najgorsze miejsce do spędzenia lata, Dolan. Ja obojętnie bardzo się na to cieszę.

— Jasne, że to całkiem miłe miejsce — zgodził się Dolan. — Tylko że ja jestem typem faceta, który nie lubi być z dala od rodziny. Mam żonę i parę dzieciaków i wolałbym spędzać z nimi całe noce, nie tylko weekendy. Odwiedziny w niedzielę to nie to samo, co kiedy widzisz, jak maluchy rosną na twoich oczach.

— Doskonale to rozumiem — przyznała Lessie. — Ja zginęłabym bez swojej gromadki.

— Miałem nadzieję znaleźć miejsce, gdzie mógłbym ich ściągnąć, kiedy skończy się szkoła — zwierzył się Dolan, potem szybko dodał: — Panno Howell, czy zna pani jakieś miejsce, gdzie moi ludzie mogliby dostać koło południa dobry, gorący posiłek? Kursowanie co dzień na obiad do wsi byłoby czasochłonne i trochę kłopotliwe. Będziemy ciężko pracować i mężczyźni powinni mieć w połowie dnia chwilę odpoczynku, a nie tłuc się autami po wertepach pięć mil w każdą stronę. Ale przecież musimy też zjeść coś ciepłego.

Zawahał się, ale zanim Lessie miała czas odpowiedzieć, zapytał wprost: — U pani to pewnie byłoby niemożliwe, panno Howell? Oczywiście dobrze zapłacimy.

— Chwileczkę — wtrącił się Angus, zirytowany — obiecałem panie Howell, że jeżeli wynajmie mi stajnię, ja ani moi ludzie nie będziemy dla niej ciężarem.

— Przepraszam — wycofał się Dolan ze skruczą — myślałem tylko, że większość mieszkańców nie pogardzi okazją do zarobienia ekstra trochę grosza.

Lessie wahała się, ale odczuła też dziwne podniecenie. Uwielbiała przecież gotowanie. Jeśli chodzi o żywność farma była samowystarczalna: piwnica pełna była zawekowanych zapasów zrobionych przez nią i Mary Sue zeszłej jesieni i lata, a już za miesiąc w ogródku pojawią się pierwsze świeże warzywa. Na podwórzu roiło się od kurcząt; nie brakowało też wędliny — w jesieni ubili dwie świnie; szynki, bekonu i kielbasy było więc pod dostatkiem.

— Jeśli sądzi pan, że pana ludzi zadowolą zwykła wiejska kuchnia, z przyjemnością spróbuję — zdecydowała się. — Moglibyśmy przez kilka dni zrobić próbę i gdyby jedzenie im nie odpowiadało...

— To nie wchodzi w rachubę, panno Howell. Oni mają już szczerze dosyć wszystkich tych przypalonych hamburgerów, niedogotowanych kielbasek w hot dogach i steków tak twardych, że nie wbijesz widelca. Będą zachwyceni wszystkim, cokolwiek im pani poda. Możemy się umówić na próbny okres: jeśli pani nie będzie zadowolona, zrezygnuje. Dobrze? Umowa stoi?

— Umowa stoi — Lessie śmiejąc się uściśniła jego wyciągniętą rękę.

Angus, nie protestując już, przyglądał im się w zamyśleniu. Odwróciwszy się obrzucił spojrzeniem domostwo: duży, nieforemny, stary dom, który rozrastał się równocześnie z rozrastaniem się zamieszkującej go rodziny, aż wreszcie przerósł ją i teraz okazał się zbyt obszerny. Pokoje zewnętrzne po obu stronach stały od dawna nie używane: Lessie i dzieciom wystarczała z powodzeniem część środkowa.

— W takim razie i ja mam pewien pomysł — odezwał się w końcu. Dolan i Lessie spojrzeli na niego zaskoczeni. — Obiecałem odwiedzić Dolana z powrotem do jego miejsca pracy, jak tylko trochę się tu rozejrzy. Ale jeśli nie miałaby pani nic przeciwko temu, wróciłbym tu jeszcze, może po obiedzie? Rano wyjeżdżam do Nowego Jorku, a chciałbym przedyskutować z panią i z całą rodziną mój nowy pomysł.

— Ależ oczywiście — Lessie uśmiechnęła się. — Proszę przyjechać zjeść z nami kolację. Wtedy będzie pan mógł ostrzec pana Dolana i jego przyjaciół, czego mogą się spodziewać.

— Ja już teraz wiem, czego mogą się spodziewać — zachichotał Dolan. — Nie zasługują na takie delicje; z pewnością będą wniebowzięci.

Kolacja była bardzo sympatyczna; dzieci patrzyły z zachwytem na Angusa, który, ze swej strony, robił wszystko, by okazać się rozrywkowym, interesującym gościem. Kiedy po wszystkich dzieci zabrały się pod kierunkiem Mary Sue do sprzątanania i mycia naczyń, Lessie z Angusem usiedli na frontowych schodkach obserwując księżyc wschodzący nad wyburzonym masywem Old Baldy.

— To dziwne — zaczął Angus po długiej chwili milczącej zadumy. — Urodziłem się, wychowałem i zawsze mieszkałem tylko w wielkim mieście. Zawsze kiedy znajdę się z dala od szerokich ulic, taksówek i ulicznych latarni, robię się nerwowy i wciąż mi czegoś brakuje. Ale jakoś tutaj czuję się dziwnie u siebie.

— To tylko chwilowe, to minie — droczyła się z nim Lessie. — Na razie to po prostu nowość. Znudzi pana wiejskie życie, zanim minie lato.

— Mam nadzieję — odparł dziwnie oschłym tonem. — Nie najlepszym chyba pomysłem byłoby prowadzenie Teatru w Starej Stajni w zimie. A to jedyny znany mi sposób zarabiania na życie. To dla mnie bardzo ważne, Lessie, czy całe to przedsięwzięcie się uda. W pewnym sensie zależy od tego moja przyszłość, nie mówiąc już o ryzyku finansowym. Więc lepiej byłoby, żeby eksperyment okazał się opłacalny.

Zanim zdążyła otworzyć usta, wyprostował się i spojrział na nią.

— Mówiłem pani wcześniej, że mam pewien pomysł, ale odkładałem tę rozmowę bojąc się, że może się pani obrazić albo zdenerwować — mówił pośpiesznie, jakby obawiając się, że za chwilę zabraknie mu odwagi. — Ale nie ma sensu dłużej zwlekać. Pomyślałem sobie, że skoro decyduje się pani żywić raz dziennie ludzi Dolana, może nie miałyby pani nic przeciwko temu, żeby potem wydawać posiłki także członkom zespołu. Oczywiście tylko obiady. Będziemy ciężko pracować; zaoszczędzilibyśmy sporo czasu, gdyby aktorzy, tak jak robotnicy Dolana, mogli przejść tylko przez drogę, zjeść obiad i przy tym trochę odpocząć.

— Oczywiście, jeśli uważa pan, że zadowolili ich to, co im mogę zaoferować. Ale może najpierw sprawdzimy, czy moja kuchnia będzie odpowiadać robotnikom Dolana.

— O to może się pani nie martwić — zapewnił ją Angus. — Jeśli powiem im, że mają jadać tutaj, zamiast tracić czas jeżdżąc do miasteczka,

będą jadać tutaj i nie ma o czym mówić. Zresztą jestem pewien, że będą zachwyceni.

Wyciągnął rękę i Lessie ze śmiechem podała mu swoją; uśmiechali się do siebie siedząc w świetle księżyca. W tym właśnie momencie oświetliły ich reflektory podjeżdżającego drogą samochodu i obydwójce drgnęli zaskoczeni. Przez chwilę siedzieli nieruchomo, przyszpileni jakby na tle otaczającej ciemności jaskrawym snopem światła; wreszcie samochód minął ich i światło zniknęło.

— To wygląda na samochód Bena — Lessie podniosła się, słysząc odgłos wyłączanego silnika i trzaśnięcie drzwiczek.

Chwilę później Ben zbliżał się do nich idąc przez trawę; Lessie ruszyła mu naprzeciw. Angus wstał tylko, nie ruszając się z miejsca.

— Jak się masz? — Lessie wysłuchała w jego głosie dziwnie obcą nutę. — Wpadłem tylko na chwilę po drodze ze stacji.

— Strasznie się cieszę — Lessie chciała ująć go pod ramię i — podobnie jak wcześniej ton głosu — zaskoczyła ją jego oziębła sztywność. — Chciałam ci przedstawić pana MacDonnella. To jest Ben Logan, mój narzeczony.

Mężczyźni wymienili zdawkowy uścisk dłoni, po czym Ben odezwał się, celowo cedząc każde słowo: — Wiele o panu słyszałem.

— Mam nadzieję, że nic złego — rzucił lekko Angus.

— A to już zależy od podejścia — odparł Ben. — Słyszałem tylko, że zamierza pan przynieść do Wysokiej Doliny cywilizację — tak zwaną.

Lessie, zaskoczona napięciem w głosach mężczyzn patrzyła to na jednego, to znów na drugiego. Ale krzewy starego bzu, pachnące i puszyste w świetle księżyca, rzucały cień, tak że mogła jedynie zgadywać wyrazy ich twarzy. Po głosach jednak poznała, że nie przypadli sobie chyba do gustu.

— „Tak zwaną” — niestety chyba dobrze pan to określił — przyznał Angus. — Konkretnie letni teatr. Ale myślę, że budowa zapory i szybkich dróg, czyniące z niedostępnej do tej pory doliny ośrodek wypoczynkowy, ponoszą większą odpowiedzialność za inwazję „tak zwanej cywilizacji” niż mój Teatr w Starej Stajni.

— Ma pan może rację — Ben wciąż cedził słowa, w jego tonie nie było cienia sympatii. — Na ile miałem okazję przyjrzeć się temu, co powszechnie określa się „rozwojem cywilizacji”, nie jestem zbyt przychylnie nastawiony do zakłócania spokoju w dolinie.

— Wolałby pan pewnie, żeby ludzie nadal używali tu lampy naftowej i nie mieli pojęcia, co dzieje się w świecie poza doliną. — Angus mówił

uprzejmym tonem, ale — podobnie jak Ben podczas całej rozmowy — bez cienia sympatii w głosie, wręcz z nutą niechęci.

— Ludzie żyją tutaj od ponad stu lat i jakoś nie zauważyłem, żeby ktoś odczuwał dotkliwie brak jakiejś z tych rzeczy, które świat zewnętrzny miałby do zaoferowania. — Ben mówił coraz ostrzejszym tonem.

Angus wykonał nieznaczny gest, mający oznaczać wzruszenie ramion.

— Cóż, mam nadzieję, że ten sezon nie przyniesie mieszkańcom żadnej szkody moralnej.

— Jeśli poczuję, że istnieje takie niebezpieczeństwo, będzie to bardzo krótki sezon — zapewnił go Ben.

— Spodziewam się — Angus roześmiał się i zwrócił do Lessie: — To ja już lecę. Nie będzie mnie przez kilka tygodni; wpadnę się z panią zobaczyć, kiedy wrócę. Dobranoc, panie Logan. Mam nadzieję, że jeszcze tu pana zobaczę.

— Może być pan tego pewien — obiecał Ben.

— O tak, tak, wiem — odrzekł Angus. Chwilę później odjechał.

Kiedy limuzyna zniknęła im z oczu, Lessie odwróciwszy się do Bena spytała: — Co cię napadło? Czemu byłeś dla MacDonnella taki niemiły?

— Nie lubię tego faceta!

— Trudno żebyś go od razu lubił: spotkałeś go dziś pierwszy raz, w ogóle go nie znasz. A ja go znam i bardzo lubię.

Ben spojrział na nią i choć jego twarz ukryta była wciąż w cieniu bzu, Lessie domyśliła się po tonie głosu, jak wygląda: jak indiańska maska; zimna i zacięta, i ciemne oczy rzucające wściekłe błyski.

— Być może właśnie dlatego ja go nie lubię — zauważył.

Przez chwilę Lessie wpatrywała się w niego poprzez wonną ciemność.

— Wygląda na to, Benie Logan, że jest pan zazdrosny! Nie, to niemożliwe.

— Niemożliwe? Chcesz się założyć? Lessie parsknęła cicho.

— Och, ty mój kochany idioto! W życiu nie słyszałam większej głupoty. Być zazdrosnym o mnie z powodu Angusa MacDonnella!

— Co w tym głupiego? Jesteś atrakcyjną dziewczyną! Zarzuciła mu ramiona na szyję i przytuliła głowę do jego piersi.

— Ty tak uważasz, najdroższy, i za to cię kocham. Ale Angus MacDonnell?! Na miłość boską, Ben, to człowiek teatru. Obraca się w elitach wielkich miast; bywa pewnie w Nowym Jorku, w Hollywood, Miami... Na pewno zna mnóstwo wspaniałych, pociągających, pięknych kobiet — takich, o jakich Mary Sue czyta w magazynach filmowych,



którymi wymienia się z koleżankami. Nigdy by na mnie nie spojrział — nie w taki sposób, jak myślisz!

— I to cię martwi, prawda? — spytał Ben. Lessie spojrzała na niego zdumiona.

— Martwi mnie? — powtórzyła, nie rozumiejąc, co miał na myśli.

— Jest przystojnym mężczyzną, niezwykle uprzejmym. Martwi cię, że nie zauważa twojej urody...

— Na miłość boską, Ben! — przerwała mu rozbawiona, ale i lekko poirytowana. — Ależ, kochanie, on jest stary! Ma około trzydziestu pięciu lat, może czterdzieści! Poza tym, to przecież „cepra”. Czy sądzisz, że liczy się dla mnie zdanie „cepra” — nawet tak miłego jak Angus MacDonnell? Ben, kochanie, jak możesz być takim głuptasem? Ja kocham cię! W moim sercu nie ma miejsca na jedną nawet myśl o innym mężczyźnie.

Ben objął ją i przez długą chwilę trzymał mocno w ramionach. Poczula pod policzkiem nierówne bicie jego serca i oczy zaszły jej mgłą. Tak bardzo kochali się, a czas, kiedy będą mogli do siebie należeć, wydawał się tak odległy.

Wreszcie odsunął ją od siebie i spojrzął jej w oczy.

— Wiesz co? Mało brakowało, a doszłoby między nami do kłótni — powiedział, przejęty tą myślą.

Lessie przycisnęła policzek do leżącej na jej ramieniu dłoni Bena.

— Między nami nigdy naprawdę nie dojdzie do kłótni, Ben. Gdybym pokłóciła się z tobą, to jakbym kłóciła się ze sobą samą. Nie mogłabym cię świadomie zranić, nie raniąc przez to bardziej siebie, bo przecież jesteś częścią mnie, najdroższy.

— Pewnie — głos drżał mu od hamowanej czułości. — Ja czuję tak samo. Ale kiedy zajechałem tu przed chwilą i zobaczyłem, jak siedzicie w świetle księżycy trzymając się za ręce, to jakby mnie ktoś walnął w samo serce.

— Kochany głuptasie, nie trzymaliśmy się za ręce — Lessie śmiała się. — Podaliśmy sobie ręce, żeby przypieczętować umowę.

— Jaką znowu umowę? Dostał już stanie. Czego chce jeszcze, u licha?

— Chyba ci się to nie spodoba — uprzedziła go. — Będę serwowała w południe posiłek rzemieślnikom pracującym nad przebudową stajni, a kiedy przyjadą aktorzy, będę im serwowała obiad.

Ben nachmurzył się. — Miałaś świętą rację, że mi się to nie spodoba. Zaharujesz się na śmierć.

— E, tam! — Lessie nie przyjmowała jego argumentu do wiadomości. — Zawsze ciężko pracowałam i lubię to. Za tydzień kończy się szkoła; Mary



Sue i Jim będą mogli mi pomóc, a Butch zajmie się Ellie. To naprawdę żaden problem! Będę mogła przynajmniej odłożyć trochę pieniędzy, na zimę: będą wtedy bardzo potrzebne.

Podeszli teraz do schodków, gdzie usiedli, tak jak Wcześniej siedziała z Angusem. Zanim odezwał się, Ben Powoli, metodycznie napelnił fajkę i parę razy pociągnął.

Patrzył przed siebie na góry, na wspaniały srebrzysty sierp księżyca i granatowoczarne cienie. Łąka okalająca starą stajnię tonęła w księżycowej poświacie, a sama stajnia zdawała się być starym niezgrabnym okrętem prującym z uporem przez to srebrno-granatowe morze.

— Jasne, teraz, kiedy otworzą drogę, wszyscy zarobimy na letnikach mnóstwo pieniędzy; zastanawiam się tylko, czy będzie to wystarczająca rekompensata za to, co utracimy — powiedział wolno po chwili.

Lessie przytuliła policzek do pleców Bena, zacisnęła dłonie na jego ramieniu.

— Nic nie może być wiecznie takie samo, Ben — powiedziała. — Świat idzie naprzód i postęp ciągnie nas za sobą, czy tego chcemy czy nie. Musimy się z tym pogodzić, jakoś przystosować, i pocieszyć się myślą, że skorzysta na tym następne pokolenie.

— Pewnie, pewnie, najdroższa — Ben skinął głową i usłyszała, jak westchnął. — Wygląda na to, że z wieloma rzeczami trzeba się będzie pogodzić i do wielu rzeczy przystosować. Turyści masowo rzucili się kupować „oryginalne stare zagrody”, w których od ponad stu lat toczyło się proste wiejskie życie, i zamieniać je na letnie domki, potrzebne im na miesiąc, dwa, czy trzy w ciągu roku — przez resztę roku kompletnie bezużyteczne.

Patrzył na nią w świetle księżyca.

— Za starą zagrodę Howellów mogłabyś dostać bajeczną sumę — powiedział cicho.

Prychnęła oburzona. — Sprzedać mój dom? Dom dzieciaków? Ben, nie wiesz chyba, co mówisz. Dziadek słysząc to obróciłby się w grobie.

— Lessie, nie możesz myśleć stale o tym, co powiedzieliby „oni”. To teraz twój dom. Dostałabyś za niego dosyć pieniędzy, żeby zabrać dzieci do miasta — mogłyby na tym skorzystać.

— Naprawdę myślisz, że w mieście dzieciom byłoby lepiej? — mówiła teraz ostrym, bardzo poważnym tonem. — Czy nie uważasz, że tu mają większą szansę wyrosnąć na przyzwoitych, uczciwych, prawych ludzi? Nie sądzisz, że mają większą szansę na szczęśliwe normalne dzieciństwo tutaj, gdzie są ich korzenie, gdzie mają poczucie przynależności? Ben, przecież ja

bym się udusiła zamknięta w jakiejś klatce, ściana w ścianę z sąsiadami, tak że wystarczy mocniej pociągnąć nosem i już wiesz, co mają dziś na kolację. Nie, ja muszę mieć przestrzeń, i tego samego pragnę dla dzieci — w każdym razie do czasu, kiedy będą na tyle dorośli, żeby samodzielnie dokonać wyboru.

Ben zaśmiał się z wyraźną ulgą: jego śmiech był ciepły i czuły.

— Miałem nadzieję, że to właśnie usłyszę, Lessie — wyznał. — Wiem, jak bardzo leży ci na sercu przyszłość dzieci i obawiałem, się, że możesz uznać, że w ich interesie byłoby sprzedać dom i wyjechać. A wtedy — już ja cię znam — chcąc nie chcąc zrobiłabyś to — taka z ciebie konsekwentna bestyjka.

— Owszem, pewnie bym to zrobiła — przyznała. — Ale tak nie myślę, więc możesz już nie zawracać sobie tym głowy. Jestem tutaj i tutaj zostanę. Życie w górach, Ben, to dobre życie. To moje życie. I nie chciałabym innego.

Ben wstał i wytrząsnął z fajki popiół, pilnując — z wrodzoną ostrożnością i rozwagą, dzięki którym doskonale sprawdzał się w swojej pracy — by ma żwirowej drodze nie zostawić po sobie najmniejszej iskierki. Pochylił się nad nią, nie obejmując ucałował delikatnie i odjechał, zabierając ze sobą wizerunek Lessie stojącej tak w świetle księżycy, smukłej i wyprostowanej, z księżycową aureolą wokół dumnie uniesionej ciemnowłosej głowy.

## ROZDZIAŁ 5

W poniedziałek z rana pojawił się Dolan ze swoją żoną i z ciężarówkami wypełnionymi niezbędnymi materiałami i drewnem. Lessie stała na ganku obserwując, jak wyładowują ciężarówki, słuchając głosów mężczyzn dolatujących do niej w rześkim rannym powietrzu. Scena sprawiała na pozór wrażenie rozgardiaszu, ale Lessie zgadywała, że to tylko takie wrażenie.

Przed samym południem na tylne podwórze przyszli dwaj mężczyźni i rozłożyli szerokie deski na kozłach pod starymi dębami, jeden z nich przytaszczył też wielkie pudło.

— Dolan powiedział, że jego żona, mając w domu na obiad większą gromadkę, narzeka potem najbardziej, kiedy musi zmywać, wymyślił, że mogłaby pani używać tych papierowych talerzy i wsadzać potem wszystko razem do pieca — wyjaśnił.

Stał przez chwilę zapatrzony w imponujący masyw gór wreszcie odezwał się: — Cholernie ładnie tu macie. Ale musi pani chyba czuć się tutaj czasem samotnie. I w zimie się pewnie mróz daje we znaki.

— Nie mam tu czasu na samotność — zaśmiała się Lessie. — Mam pod opieką młodszych braci i siostry. Ale w zimie rzeczywiście bywa czasem bardzo mroźno.

— Nie brakuje chyba wokoło suchego drzewa. Najlepszy sposób na mroźne noce to rozpaścić przed domem wielkie ognisko. — Uśmiechnął się i zakończył: — Wracam lepiej do roboty, bo zaraz Dolan sam po mnie przyjdzie.

Oddalił się, a Lessie zawołała Mary Sue, żeby pomogła jej nakrywać do stołu. Bardzo obawiała się pierwszych kilku dni, ale, ku jej zaskoczeniu, okazało się, że wydawanie obiadów szybko stało się rutyną, z którą ona, Mary Sue i Jim z łatwością i bez zbędnego stresu umieją sobie poradzić.

— Idzie nam znakomicie — chwaliła się Benowi, kiedy wpadł do niej pod koniec pierwszego tygodnia. — Robotnikom odpowiada moja kuchnia i są tacy mili i uprzejmi. Lubię im gotować. I to, że nie muszę zmywać naczyń znacznie ułatwia pracę.

Ben uśmiechał się, siedząc naprzeciw niej przy nakrytym do kolacji stole i pijąc kawę, którą przed chwilą naląła mu do kubka.

— Ty po prostu uwielbiasz się zaharowywać — droczył się.

Lessie zaśmiała się. — Czy wyglądam na zaharowaną?

— Wyglądasz ślicznie i kwitnąco jak zwykle — powiedział poważnym już tonem, potem nagle oświadczył: — Dostałem dziś list od Delsie: nie

przyjeżdża do domu na wakacje, zostanie i zrobi przez lato jakiś dodatkowy kurs.

Lessie spojrzała na niego zaskoczona.

— Ale Ben, przecież ona jest tu potrzebna — zaczęła i zaraz ugryzła się w język.

— Pisze, że jak zrobi ten kurs, to nie będzie musiała już chodzić do szkoły w zimie. Od października może zacząć uczyć tu w szkole — wyjaśnił Ben z błyszczącymi, pełnymi naraz tkliwości oczyma.

— Och, Ben — wyszeptała Lessie, tknięta nagłą nadzieją. — Czy to znaczy...

— To znaczy, że wkrótce skończy się nasze długie oczekiwanie — odparł Ben cichym, drżącym lekko głosem. — Delsie będzie znów w domu, ja mogę tam co dzień do matki zaglądać — nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy mogli się pobrać. Najpóźniej w Boże Narodzenie.

Lessie siedziała bez słowa, ale od nagłego szczęścia serce wyskoczyć jej chciało z piersi. Aż do tej chwili, kiedy oczekiwanie okazało się raptem kwestią nie lat już, a tylko miesięcy, nie odważyła się nigdy myśleć realnie o wspólnym życiu. Któregoś dnia, tak, oczywiście — ale to jeszcze bardzo długo. Ale teraz, kiedy Delsie wraca do domu, można będzie nareszcie naprawdę zacząć snuć plany!

— Och, Ben — wyszeptała znowu wzruszonym głosem. Wsunęła w jego dłoń swoją rękę i przez dłuższą chwilę siedzieli tak, niewierzący nagłemu szczęściu, podnieceni nieoczekiwanym przyplywem nadziei...

Było już popołudnie, kiedy w pewnej chwili Lessie usłyszała wrzaskliwy ryk klaksonu i ujrzała zajeżdżające pod stajnię auta, i zaraz potem wysypujących się z nich ludzi. Poznała limuzynę Angusa; był tam także ciemnozielony sedan, nieźle utrzymany ford.

Czekała, patrząc, jak zwiedzają gromadnie stajnię, której przebudowa dobiegała niemal końca. Po chwili jechali już przez drogę za wozem Angusa w kierunku jej domu.

— Witam panią! — zakrzyknął Angus z wylewną serdecznością i zwrócił się do siedzącej obok niego kobiety: — Tereso, poznaj Lessie, Lessie, poznaj Teresę.

Szarą twarz kobiety rozjaśnił uśmiech, czyniąc ją na parę sekund niemal ładną. Była niska, skromnie ubrana; z wyjątkiem okalającej twarz burzy kasztanowych włosów można by zaklasyfikować jej urodę jako co najmniej przeciętną.

— Miło panią poznać, Lessie. Andy opowiadał o pani i o tym miejscu niesamowite historie, ale zacznam wierzyć, że to wszystko szczerą prawdą.

To istny raj na ziemi — orzekła. Miała najpiękniejszy głos, jaki Lessie kiedykolwiek słyszała: brzmiący jak muzyka idealnie zestrojonych, maleńkich złotych dzwoneczków.

— Jestem największym na świecie szczęściarzem: zdołałem wyciągnąć ją z domowego zacisza i nakłonić znowu do pracy — tryumfował Angus obejmując ramieniem swoją sąsiadkę. — Producenci zabijają się o nią na Broadwayu, każdy wiele by dał, żeby mieć w kontrakcie jej nazwisko; tymczasem komu się to udało? Mnie!

— Kochany Andy — rozczuliła się Teresa i poklepała go lekko w policzek. — A to, Lessie, jest Carolyn Somers, moja odwieczna i najlepsza przyjaciółka.

Teresa wskazała ręką starszą, zażywną kobietę, siedzącą z nią na jednym siedzeniu.

— Witaj, Lessie — rzuciła Carolyn rozglądając się dokoła. — Jeśli miałaby pani wątpliwości co do mojej dla Teresy przyjaźni, zaręczam, że mój przyjazd tutaj jest na to wystarczającym dowodem! Czy pewna jesteś, dziecko, że nie ma tu już żadnych Indian?

— Całkowicie — zaśmiała się Lessie i poczuła, że będzie tę kobietę bardzo lubić.

Dwoje młodych ludzi usiłowało właśnie wygramolić się z bagażowej części wozu Angusa i ten uśmiechnął się do drobniutkiej, ślicznej dziewczyny o błyszczących blond włosach, ubranej w elegancko skrojony zielonkawy kostium.

— Jane Ellerbe, Lessie, i Howard England, moi uczniowie — Angus przedstawił ich z uśmiechem.

— Miło mi — przywitała się Lessie cichym, ochrypłym głosem.

— Cześć. — Howard pełen był chłopięcego wdzięku. — Nie widziałem tyle przestrzeni od czasu Kinoramy. Niewątpliwie będzie się tu grać zupełnie inaczej. Żeby tylko ktoś nie popadł na jakiejś próbie w zbyt ni entuzjizm i nie zrzucił swojego antagonisty ze skały!

Ciemnozielony sedan zatrzymał się tuż za limuzyną; wysiadł z niego wysoki, młody, przystojny mężczyzna i zaraz odwrócił się, by podać rękę swej towarzysze, dwudziestodwu - dwudziestotrzyletniej kasztanowej brunetce o bursztynowych niemal oczach. Jego oczy śmiały się do niej; ona, odwzajemniając się spojrzeniem pełnym uwielbienia, podziękowawszy wsunęła mu rękę pod ramię i odwróciła się do reszty towarzystwa.

— A oto nasi nowożeńcy — przedstawił ich Angus. — Jon i Lucy Blair. Jon to etatowy odtwórca głównych ról, a Lucy...

Dziewczyna zaśmiała się kończąc za niego: — Chciała się tylko trochę przejechać. Jestem najgorszą aktorką pod słońcem, ale obiecałam szorować scenę i namalować czasem jakąś scenografię, jak tylko Andy pozwoli mi jechać z Jonem.

— To nieprawda. Jest wspaniałą aktorką! — protestował Jon.

Lucy parsknęła śmiechem. — Przeczytaj sobie moje recenzje — obydwie. A zwłaszcza tę, w której piszą: „Lucy Cole była poprawna w roli młodszej siostry — ale tylko poprawna.”

— Zobaczysz, zanim stąd wyjedziemy, będzie z ciebie wielka aktorka. Oto MacDonnell Kreator Gwiazd we własnej osobie. — Jon skłonił się z przesadnym szacunkiem w stronę Angusa; ten ledwie się uśmiechnął.

— Oto i Mason Lawrence, nasz czarny charakter, i Carlton James, odtwórca charakterystycznych postaci — Angus odwrócił się w kierunku nadchodzącej dwójki: mężczyzny w średnim wieku o śnieżnobiałej czuprynie i błyszczących oczach i przysadzistego młodego człowieka, którego śniadą twarz rozjaśnił w tej chwili przyjazny uśmiech. — Gdzie są Elaine i Jud? — zapytał Angus.

— W teatrze, oczywiście, gdzieżby inaczej? — odparł starszy mężczyzna, Carlton James, składając Lessie wytworny, staroświecki ukłon. — Te dzieciaki tak uwielbiają zapach szminki i blask reflektorów, że nie mogą się już doczekać, kiedy zaczniemy próby.

Potem, wskazując na kolegę, zwrócił się do Lessie: — Proszę się nie obawiać Masona, droga pani. Wygląda niebezpiecznie, ale zapewniam panią, że poza sceną jest łagodny jak baranek. Zupełnie niegroźny.

— Gdybyś był młodszy o dwadzieścia lat, drogo byś za te słowa zapłacił — rzekł na to Mason miłym głosem. — Trudno sobie wyobrazić gorszą dla mężczyzny obelgę, niż usłyszeć, jak ktoś przedstawia cię uroczej damie mówiąc o tobie „zupełnie niegroźny”. Jestem oburzony. Miło mi, panno Howell.

— Muszę wyznać, że ani trochę się pana nie boję — śmiała się Lessie, czując, że zdążyła już tych ludzi polubić: byli zabawni i intrygujący.

— Poczekaj, kochana, aż zobaczy mnie pani, jak trzaskam z bicza: podkreślony czarny wąs, czarny kapelusz z szerokim rondem nasunięty głęboko na bezlitosne oczy — ostrzegł Mason uprzejmym tonem.

— Nie planowałem w tym sezonie wystawiać Chaty wuja Toma — protestował Angus śmiejąc się.

— Nieważne. Jestem równie przerażający w roli szalonego naukowca albo nawet jako stwór z innej planety. A tak przy okazji, może byśmy zrobili Drakulę? Odpowiadałby mi ten makijaż.

— Może nie w tym sezonie — odparł z uśmiechem Angus.

Teresa zamruczała pod nosem: — Werble i fanfary, proszę! Nadchodzi piękna Dziewica ze swym wiernym zakochanym pasterzem. Ciekawe, jak ona by wyglądała bez faceta u boku. Pewnie tego nie sprawdzę — nikt nie ujrzał jeszcze takiego widoku.

Angus odpowiedział półszepceniem, zatroskany: — Nie mogłem znaleźć nikogo lepszego do ról drugoplanowych.

— Jeżeli zadowolą ją role drugoplanowe — co jest raczej wykluczone — obiecuję trzymać mój sztylet od niej z daleka. Ale jeden fałszywy ruch i już po niej! — ostrzegła Teresa złowieszczo.

W tym momencie tamci dołączyli już do reszty towarzystwa i Lessie ujrzała porządnie ogolonego, wystrzyżonego do gołej skóry młodego mężczyznę z lekko nieprzytomnym wyrazem twarzy, jakby wracał pomału do rzeczywistości obudzony ze śpiączki, i dziewczynę, która wydała jej się najpiękniejszym stworzeniem, jakie dotąd kiedykolwiek widziała. Włosy miała koloru dojrzałej złotej pszenicy, a jej skóra przypominała półprzezroczyste płatki kwiatu. Oprócz czerwonej, w odcieniu pelargonii szminki twarzy jej nie ozdobił żaden makijaż; sukienka, na pozór prosta i skromna, nawet w oczach Lessie sprawiła wrażenie bardzo kosztownej.

— To bajkowe miejsce, panie MacDonnell! — Mówiła niskim, chropawym, ćwiczonym głosem, uśmiechając się do Angusa przymilnie. — Będzie dla mnie wspaniałym przeżyciem pracować tutaj z panem. Jestem bardzo szczęśliwa.

W chwili, kiedy Angus jej odpowiadał, Lessie dostrzegła na twarzy Teresy przelotny ironiczny uśmiešek.

— Mam nadzieję, że nie będzie pani rozczarowana, Elaine. Pani producentowi zależało bardzo, żeby przyjechała tu pani przed powrotem do Hollywood. Mam nadzieję, że nie będzie to zbyt obciążające. Teatr letni to ciężka praca.

Elaine pieściła go wzrokiem.

— Ależ nie mam nic przeciwko temu, panie MacDonnell. Tak się cieszę, że mogę w ogóle z panem pracować — zaszczębiotała słodko.

— Chyba trzeba się zbierać z powrotem do miasteczka; musimy się rozlokować — rzekł Angus ponaglającym tonem. — Pierwsza próba o dziewiątej trzydzieści jutro rano i otwieramy sezon od wtorku za tydzień. Nie ma za dużo czasu.

Kiedy już zniknęli wszyscy oprócz Angusa, Teresy i Carolyn, Teresa odwróciła się do Angusa, i Lessie, ku swemu zaskoczeniu, zobaczyła w jej ciemnobrązowych oczach łzy.



— Angus, proszę cię, pozwól mi tu jeszcze chwilę zostać. Taki tutaj spokój — wyszeptala.

— Tereso, kochanie — Angus ujął ją za rękę, ale ona wyrwała mu się i pobiegła za dom, w kierunku ścieżki wiodącej pod górę przez sad.

— Zostaw ją, Andy. — Carolyn także wyraźnie powstrzymywała łzy. — Powrót do życia, kiedy raz dało się już za wygraną, nie jest łatwy. Musisz mieć dla niej dużo cierpliwości.

— Oczywiście, Caro, będę bardzo cierpliwy. Ale nie wiem, czy dobrze jej robi to ciągle zamartwianie się, rozpamiętywanie.

— Nie wiem — odparła Carolyn sucho. — Mówią, że wszyscy wielcy artyści muszą przejść przez cierpienie, zanim osiągną pułap swej sztuki. Jeśli to prawda, Andy, w takim razie Teresa prześcignie chyba Sarę Bernhardt. Wiem, wiem: tysiące kobiet straciło uwielbianych przez siebie mężów. Ona nie jest wyjątkiem — chyba że dla mnie i dla ciebie, bo jest Teresą i ją kochamy.

Angus zapytał: — Czy popełniłem błąd, Caro, namawiając ją, żeby wróciła do pracy?

— Ależ skąd, kochanie. — Ton jej głosu był pewny i krzepiący. — Potrzebuje tego bardziej niż czegokolwiek innego. I pieniądze też jej się przydarzą.

— Chcesz powiedzieć, że krucho u niej z pieniędzmi? Caro zaśmiała się ponuro. — Chcę powiedzieć, że jest doszczętnie zrujnowana, splukana do zera. Od roku żyje sprzedając swoją biżuterię: wszystko z wyjątkiem tego, co dostała od Teda — tych rzeczy nie ruszy, choćby miała umrzeć z głodu.

— A ja myślałem...

— Wszyscy tak myśleli, zależało jej, żeby tak myślano — że ona i Ted mieli góry pieniędzy i że nie musi już wcale pracować, jeśli nie będzie miała na to ochoty. Cóż, ona i Ted rzeczywiście zarabiali mnóstwo pieniędzy, ale obydwójce naiwnie dawali się nabierać na cudze historyjki. Był żebrak mógł zderzyć z nich ostatnią koszulę, jeśli tylko umiał sugestywnie opowiedzieć historię swojego nieszczęścia. A z chwilą gdy — tego wieczora, kiedy umarł Ted — zerwała ze sceną, urwały się tym samym jej bajeczne gaże. Od ponad dwóch lat nie zarobiła ani centa. Więc ta praca to dla niej prawdziwy dar boży.

— Nie miałem pojęcia...

— Oczywiście, że nie. Nie chciała, żebyś wiedział. Nie chciała, żeby ktokolwiek wiedział. — Caro wzięła głęboki oddech. — Byłam taka szczęśliwa, kiedy usłyszałam, jak docina pięknej Elaine. To był dla mnie



znak, że wraca do formy; że nie ma zamiaru siedzieć z założonymi rękami patrząc, jak Elaine zmiata jej laury sprzed nosa.

— Nie pozwolę na to — zapewnił Angus.

Caro, uśmiechając się szelmowsko, rzuciła mu rozbawione spojrzenie; powiedziała tylko: — Ach, wy mężczyźni!

Lessie słuchała ich rozmowy, czując się coraz bardziej niezręcznie.

Caro dostrzegła jej zakłopotanie i objęła ją nagle ramieniem.

— Nie zwracaj na nas uwagi, Lessie — powiedziała wesoło. — Jesteśmy trochę zbzikowani, ale to w show-biznesie normalne. Będziesz musiała nas takich tolerować — najlepiej wcale nie próbuj nic zrozumieć.

— Ależ skąd, jesteście cudowni, tylko trochę mam w głowie zamętu — wyznała Lessie i wszyscy troje wybuchnęli serdecznym śmiechem.

RS

## ROZDZIAŁ 6

Teresa zatrzymała się w końcu, zdyszana, i oparłszy się o olbrzymią starą sosnę przywarła do przyjaznej szorstkiej kory, próbując złapać oddech. Oczy zaczęły same chłonać wspaniałą rozległą panoramę i stopniowo Teresa odzyskiwała równowagę.

— Jakże by ci się tu podobało, kochanie — wyszeptwała. I ból szarpnął jej sercem jak wichlerz szarpie młodym drzewkiem, i osunęła się w dół na dywan z sosnowych igieł, i porwał ją spazmatyczny szloch.

Oprzytomniała nagle słysząc nad sobą pełen współczucia i troski dziecinny cieniutki głosik: — Potłukła się pani?

Teresa podniosła głowę i ujrzała kilka cali nad sobą śliczną dziecięcą główkę; dziewczynka kuciała przed nią, ściskając w ręce starą postrzępioną lalkę.

— Witaj, maleńka, skąd się tu wzięłaś? — Teresa zdążyła już usiąść prosto i wytrzeć twarz niezbyt nadającym się do tego celu kawałkiem chusteczki.

— Mieszkam tutaj — odparło dziecko urażonym tonem. — Ale pani tu chyba nie mieszka?

— Mieszkasz tutaj? — Teresa rozejrzała się zdziwiona, nie widząc w okolicy nawet dymu, który mógłby wskazywać na jakieś domostwo.

— Przecież nie tu — odpowiedziała dziewczynka z wyrzutem. — Tam, dalej. Nazywam się Ellie Howell.

— Ach, tak. Poznałam dzisiaj twoją siostrę Lessie. Przez twarzyczkę dziecka przemknął niepokój.

— Nie powie pani Lessie, że przyszłam sama aż tutaj? Teresa roześmiała się. — Nie wolno ci tu przychodzić? Ellie potrząsnęła loczkami. — Mam trzymać się Butcha.

Ale on miał mnie dosyć i kazał mi iść do domu. Pomyślałam, że i tak wszyscy są zajęci i nikt nie zauważy, że mnie nie ma, więc zostałam, żeby się pobawić w udawanie.

— Och, to wspaniała zabawa! Ellie rozjaśniła się, zachwycona.

— Umie pani bawić się w udawania? — spytała z niedowierzaniem.

— Robię to całe życie — odparła Teresa, starając się panować nad drżeniem głosu. — Teraz też. Udaję, że ty i ja jesteśmy przyjaciółkami i że czeka nas tego lata mnóstwo dobrej zabawy.

— Och, to byłoby cudownie — ucieszyła się Ellie i nagle spochmurniała: — Pani jest z letnikami?

Teresa, zaskoczona, roześmiała się. — Będę pracowała z Angusem MacDonnellem w Teatrze w Starej Stajni. To znaczy, że jestem z letnikami, czy nie — bo nie wiem?

Ellie zaprzeczyła energicznym ruchem głowy.

— Nie, to znaczy, że jest pani z artystami. Letnicy przyjeżdżają i wykupują domy i wszystko. Tak Ben mówił Lessie. — W cienkim, słodkim głosiku zabrzmiała nuta życiowej mądrości i doświadczenia.

Teresa, śmiejąc się, objęła dziewczynkę.

— Ellie, jesteś cudowna!

Ellie rozpromieniła się uszczęśliwiona i podniosła do góry swoją lalkę.

— Zapomniałabym. To jest Susie Belle. Nie jest ładna, ale jest sprytna i bardzo miła.

Spojrzała na Teresę błagalnym wzrokiem, ta dotknąwszy delikatnie lalki, stwierdziła: — Ależ nie, jest bardzo piękna. Lalka, którą można się naprawdę bawić jest o wiele ciekawsza niż taka, która ma ładne ubranko i można na nią tylko popatrzeć.

Ellie podobała się ta odpowiedź — widać to było po jej oczach.

Zmrużywszy powieki spojrzała na przezierające przez korony wielkich drzew ukośne promienie słońca i westchnęła.

— Chyba już późno. — Podniosła się. — W każdym razie tak wygląda. Pójdę lepiej do domu, bo Lessie będzie się denerwować.

— Dostaniesz lanie? — spytała Teresa i od razu ogarnęło ją współczucie.

Lessie spojrzała na nią szerokimi od zdziwienia oczyma.

— O nie, Lessie nigdy by mnie nie zbiła! Kocha mnie. Ja też ją kocham i dlatego nie chcę, żeby się martwiła.

Teresa wstała, niedbałym ruchem strzepnęła igły ze spódnicy i z uśmiechem podała Ellie rękę.

— Zejdziemy razem, kochanie. Ja też powinnam już wracać.

— O panią też ktoś się będzie martwił? — spytała Ellie, podskakując obok Teresy, z małą usmoloną łapką zaciśniętą kurczowo na jej ręce.

Teresa wstrzymała oddech czując nagle ukłucie bólu; potem podniosła do góry głowę i odparła: — Tak, oczywiście. Andy i Caro.

— Czy to pani rodzina? — spytała Ellie szczerze zainteresowana.

Teresa zagryzła na moment wargi, by zapanować nad głosem; potem, siląc się na lekki ton, odpowiedziała: — Tak, to prawie rodzina: to właściwie więcej niż rodzina: są moimi najlepszymi, najbliższymi przyjaciółmi.

Ellie skinęła głową, w pełni usatysfakcjonowana odpowiedzią; chwilę później były już na przecinającej sad ścieżce.

— No, jest nareszcie — powiedziała do Angusa Caro i zaraz dodała zdumiona: — Ale skąd wytrzasnęła dzieciaka? Czyje to dziecko?

— Moje — odrzekła Lessie i ruszyła im naprzeciw. — Gdzie byłaś, Ellie?

Ellie spojrzała na nią i zaraz spuściła wzrok.

— Z Butchem — wyglądała jak uosobienie niewinności.

— Więc gdzie jest Butch? — Lessie nie dała za wygraną.

— Poszedł na ryby, a ja wróciłam do domu z panią. Rzuciła Teresie błagalne spojrzenie, ta ścisnęła jej rękę znacząco, uśmiechając się zwycięsko do Lessie.

— Na pewno zabłądziłabym, gdyby Ellie nie pokazała mi drogi — powiedziała miłym głosem.

— Nie wolno ci chodzić samej w góry — Lessie zwróciła się do Ellie.

— Ale to było tylko chwileczkę, Lessie. Butch podprowadził mnie do ścieżki i kazał iść prosto do domu, i poszłabym, ale spotkałam tę panią i trochę sobie rozmawiałyśmy, a potem poszłyśmy do domu — tłumaczyła Ellie z zapalem.

— Mam nadzieję, Lessie, że nie denerwowała się pani? — spytała Teresa przyjaznym tonem.

— Ja się denerwowałam o ciebie — rzuciła Carolyn ostro.

Teresa, wciąż trzymając małą za rękę, uśmiechnęła się do, Ellie, potem do Caro.

— Nie musisz się już o mnie martwić, Caro — powiedziała dźwięcznym, pewnym głosem; błysk oczu rozjaśnił jej twarz i przez moment zdawała się być niemal piękna. — Widzisz, jakoś znalazłam drogę do domu.

Caro i Angus wymienili szybkie, zdziwione spojrzenia i Caro odwróciła się, by ukryć łzy.

— To cudowna wiadomość, kochanie — odparł Angus cichym, niepewnym głosem.

— Drogi Andy! Droga Caro! — zaczęła Teresa z czułością. — Nie wiem, jak mogliście przez te ostatnie lata ze mną wytrzymać. Ale stoję już nogami na ziemi, Andy; Potrafię już żyć ze wspomnieniem i przystosować się. Sir James M. Barrie mądrze powiedział: „Bóg dał nam pamięć, żebyśmy mogli mieć w grudniu czerwone róże”. Kolce dały mi się dotkliwie we znaki, ale teraz będę już myśleć tylko o różach.

— To dobrze, Tereso. Zuch dziewczyna. — Angus pochylił się i dotknął wargami jej policzka.

Teresa stała przez dłuższą chwilę wpatrując się w panoramę; potem, pod wpływem nagłego impulsu, odwróciła się do Lessie.

— Czy będzie to zbyt wygórowanym żądaniem, jeśli poproszę, by pozwoliła mi pani sypiać tutaj? Mieszkać u pani zamiast we wsi? Jest tu dość miejsca? Zadowolę się czymkolwiek.

— Daj spokój, Tereso. Obiecałem Lessie, że nie będziemy jej zawracać głowy.

Teresa nie słuchała. Wpatrywała się w Lessie, za całą argumentację starczała wymowa spojrzenia jej wielkich czarnych oczu.

— Miejsca nie brakuje, panno Carr, ale to tylko zwykłe wiejskie gospodarstwo, nie ma tu komfortu i wygod, jakie zapewniono by pani we wsi — zaczęła Lessie.

— Ale to miejsce! Cudowne, nieprawdopodobne miejsce! Gdyby pani wiedziała, Lessie! Mam nadzieję, nigdy nie będzie pani musiała tego doświadczyć, ale gdyby... — jej piękny dźwięczny głos załamał się i umilkła.

— Jeżeli ma pani ochotę z nami zamieszkać, postaramy się żeby było tu pani jak najlepiej.

— Tereso, kochanie, to bez sensu — protestowała Caro.

Teresa uśmiechnęła się do Lessie i położyła dłoń na pulchnym ramieniu Caro.

— Znalazło by się dość miejsca dla nas obydwu? Nie rozdzielałyśmy się od ponad dwóch lat. Nawet na jedną noc. Wiem, że nie powinnam się tak narzucać, ale to naprawdę tyle dla mnie znaczy, żeby móc tutaj mieszkać.

Lessie roześmiała się i wykonała szeroki gest ręką.

— Mamy tu sześć wolnych pokoi, wszystkie umeblowane w wiejskim stylu — góralskie meble i tak dalej. Boję się, że nie będzie paniom najwygodniej, ale serdecznie zapraszamy.

Teresa pisnęła z radości i objęła Lessie, potem podniecona, z błyszczącymi oczyma, zwróciła się do Caro.

— Możesz wyrzucić tabletki na sen, Caro — stwierdziła radosnym, śpiewnym tonem. — Nie będą mi tutaj potrzebne.

— W takim razie gra warta świeczki — Caro uśmiechnęła się do Lessie.

## ROZDZIAŁ 7

Mary Sue, pomagając Lessie w przygotowaniu kolacji, stwierdziła ze zdziwieniem: — Myślałam, że wszystkie aktorki, a zwłaszcza gwiazdy, są piękne i czarujące. Ale przecież panna Carr jest co najmniej przeciętnej urody.

— Cóż, jest wspaniałą aktorką: może kiedy się naprawdę umie dobrze grać, uroda nie jest rzeczą najważniejszą. Ma zachwycający głos, nie uważasz? — powiedziała Lessie.

— O tak! Aż ciarki przechodzą po plecach. Na pewno jest wspaniała na scenie — odparła Mary Sue z zapałem.

— Już widzę minę Bena, kiedy się dowie, że wzięliśmy do domu na lato dwóch lokatorów. — Lessie w tej chwili uświadomiła sobie swój rosnący niepokój.

Mary Sue rzuciła jej zdziwione spojrzenie.

— Będzie się wściekał? Z powodu dwóch kobiet? Co innego gdyby chodziło o tego miłego młodego mężczyznę, do którego mówią Juddy, albo gdyby to był ten śliczny pan Blair.

— Głuptasie! Benowi chodzi tylko o to, że biorę sobie na głowę dodatkową robotę.

— Tak czy inaczej nie musisz się chyba przejmować Benem. Nie jest na razie twoim mężem!

— Ale nim będzie, Mary Sue. Może jeszcze przed Bożym Narodzeniem.

Mary Sue sapnęła z wrażenia. — Och, Lessie, naprawdę?!

— Jeśli Delsie wróci i pójdzie pracować do szkoły we Fiat Rock, tak że będzie przy matce codziennie w nocy, to chyba moglibyśmy się pobrać.

— Och, Lessie, tak się cieszę! Ben jest cudowny, uwielbiam go! I ty byłaś dla nas taka dobra: zajmować się przez tyle lat bandą dzieciaków!

— Cała przyjemność po mojej stronie — Lessie siliła się na lekki ton, ale oczy płonęły jej od wyobrażeń o przyszłości. — To prawda, że miło będzie mieć Bena cały czas koło siebie!

— No myślę! — śmiała się Mary Sue. — Och, Lessie, to naprawdę super!

W drzwiach ukazała się Caro w sztywnej bawełnianej sukience. — Dajcie mi jakieś zajęcie. Nie wiem, ile już lat nie byłam w prawdziwej kuchni i miałabym ochotę w czymś pomóc. Jestem świetna w zmywaniu naczyń i nawet bardzo to lubię.

Mary Sue ostro zaprotestowała: — Niemożliwe, pani Somers, to wykluczone! Nikt nie lubi zmywania! Nikt normalny.

Caro zachichotała. — A kto ci powiedział, że ja jestem normalna? Gdybym była, to dawno dałabym sobie spokój z teatrem. A przede wszystkim w ogóle nigdy bym się tam nie znalazła.

— Nie lubi pani teatru, pani Somers? — spytała Mary Sue.

— Czy nie można by skończyć z tą „panią Somers”? — zdenerwowała się Caro. — Nienawidzę tego nazwiska; poza tym nie jest moje. Przybrałam je, bo pomyślałam, że dobrze będzie wyglądać w blasku świateł. Tylko że nigdy nie miałam się okazji przekonać. Jestem Caro — a niech no ktoś powie do mnie „ciociu Caro”, to nie ręczę za siebie! Chyba że to będzie ta mała. Ona, jeśli ma ochotę, może zwracać się do mnie nawet „Hej, ty!” Ogromnie dużo temu dzieciakowi zawdzięczam, ale jesteście zbyt młodzi, żeby to zrozumieć. No, daj mi jakąś robotę, Lessie. Do dzieła.

— Zjemy kolację w jadalni, więc może pani — możesz — nakryć do stołu. — Lessie czuła się nieco skrępowana obecnością kogoś obcego w swojej kuchni.

— Po co w jadalni? Macie taką sympatyczną kuchnię — protestowała Caro, rozglądając się po miłym, przestronnym, skromnie urządzonej pomieszczeniu.

— Ale nie możemy przecież kazać pannie Carr jeść w kuchni! — protestowała Mary Sue zgorzozona. — Taka sławna aktorka?

Caro spojrział na dziewczynę i uśmiechnęła się.

— Teresa jest przede wszystkim i w każdym momencie człowiekiem: dopiero potem aktorką i to całkiem niezłą — wyjaśniła Caro. Potem, ściszywszy głos, ciągnęła dalej: — Myślę, że może powinniście wiedzieć, że przechodzi teraz bardzo trudny okres. Jakies dwa lata temu zmarł nagle jej mąż. Byli z sobą bardzo związani. Żadne z nich nie miało rodziny: bliskich, na których można w ciężkich chwilach polegać. Z początku wiodło im się nie najlepiej, ale to zbliżyło ich tylko do siebie jeszcze bardziej. Stopniowo obydwójce zaczęli robić karierę w świecie show-biznesu: Teresa jako aktorka, Ted jako wybitny producent. Ona grała właśnie w ostatnim z serii bardzo udanych spektakli, a Ted zajmował się zorganizowaniem trasy tournée. Wracał z Filadelfii i miał po drodze atak serca. Zdażył jeszcze zjechać na pobocze i wyjść z wozu. Zmarł w przydrożnym rowie.

Lessie wykrzyknęła: — To okropne!

— Dla Teresy oznaczało to koniec wszystkiego. Zerwała ze sceną, zaszyła się w swojej norze i nie chciała widzieć nikogo z wyjątkiem mnie. Mnie trudno się pozbyć. Wiedziałam, że mnie potrzebuje, nawet jeśli ona sama nie zdawała sobie z tego sprawy. Jedyńm człowiekiem, który był w stanie przywrócić ją życiu, był Andy. On i Ted byli bliskimi przyjaciółmi;

Ted przekazał Angusowi swoją wiedzę i Angus nigdy mu tego nie zapomniał. Angus nierozłącznie kojarzy się Teresie ze wspomnieniami o Tedzie, i dlatego tylko zgodziła się tu przyjechać. Czuję, że zanim skończy się ten sezon, Teresa uspokoi się, stanie znowu na nogi i zrozumie, że jej jedyna przyszłość to praca.

Obrzuciła szybkim spojrzeniem wszystkie zatroskane, posmutniałe młode twarzyczki; potem, z lekko wilgotnymi oczyma, uśmiechnęła się.

— Uznałam, że powinniście to wiedzieć — powiedziała cicho. — Chciałam, żebyście zrozumieli, że najlepsze, co możecie dla niej zrobić, to przyjąć ją do swego domu, do swego życia, na prawach domownika. Nie traktujcie jej jak wybitnej osobistości. To by ją tylko zraniło. Jeśli będzie mogła poczuć się jednym z was, przyjacielem, to lato będzie dla niej dobrodziejstwem, najlepszym lekarstwem na cierpienie.

Zerknęła w okno i wyprostowała się.

— A któż to jest — zapytała — ten wspaniały, postawny mężczyzna?

Lessie podążyła w ślad za jej spojrzeniem i twarz jej oblał rumieniec, nie mający bynajmniej nic wspólnego z żarem od pieca.

— Ten? — odparła ciepłym tonem — To Ben.

— Ben? — mruknęła Caro z błyskiem w oku. — Rozumiem, że to twój znajomy.

— Mamy zamiar się pobrać — odrzekła Lessie: głos zdradzał podniecenie i dumę.

— Szczęściarz! — stwierdziła Caro i zaraz, spojrzawszy na Lessie, dodała z uśmiechem: — Z ciebie też szczęściara! Będziecie piękną parą.

Ben, jak to miał w zwyczaju o tej porze dnia, obszedł dom dokoła, żeby wejść tylnymi drzwiami, wiedząc, że zastanie Lessie w kuchni przyrządzającą kolację.

— Cześć, kochanie — przywitał ją czułym, ciepłym tonem i Lessie poczuła, jakby jej serce tuliły z delikatną pieśczołą maleńkie, niewidzialne palce. Dopiero teraz zauważył Caro i zatrzymał się. — Przepraszam. Nie wiedziałem, że masz gościa.

— Nie jestem gościem — wtrąciła się Caro miłym tonem. — Mieszkam tu: w każdym razie przez lato. Miło mi cię poznać, Ben. Jestem Caro. Gdybyś chciał być bardziej oficjalny — mam nadzieję, że nie będziesz — nazywam się Carolyn Somers.

— Miło mi, pani Somers — odparł Ben sztywno.

— Niewątpliwe — zaśmiała się Caro. — Ale ja i Teresa postaramy się nie wchodzić w drogę.



Ben spojrział na Lessie, a ona poczuła nagle, że pod tym spojrzeniem opuszcza ją cała odwaga. Caro, która zdawała się do tej pory być w pełni usatysfakcjonowana własnym paplaniem, nie czekając wcale na niczyją odpowiedź, oznajmiła raptem: — Jeśli pozwolicie — a z pewnością pozwolicie — pójdę po Teresę, żeby zdążyła wymyć ręce i przygotować się do kolacji. Idziesz ze mną, dziecko? — Wyciągnęła rękę do Ellie, która zerwała się z zapalem i podawszy Caro swą małą rączkę ruszyła pierwsza w kierunku drzwi.

Mary Sue rzuciła szybkie spojrzenie na Bena, który — jak to określali przyjaciele — przybrał na twarz swoją „indiańską maskę”, co oznaczało zawsze, że „nieźle jest rozeźlony” i mruknąwszy coś na kształt „przepraszam” wymknęła się z kuchni.

— Więc do tego wszystkiego mamy teraz jeszcze letnich lokatorów — zaczął Ben słodkim tonem z błyskiem w oczach.

— Pozwól mi tylko wytłumaczyć — prosiła Lessie.

— Pozwolic ci? Oczekuję tego!

Lessie poczuła złość, ale opanowała się i najspokojniej jak umiała, opowiedziała mu w skrócie, jak doszło do tego, że Teresa i Caro miały u nich zamieszkać. „Na jakiś czas”, powiedziała, nie wiedząc właściwie sama, jak długo ma to potrwać: może kilka dni, może do końca sezonu.

— Ostatecznie — zakończyła buntowniczo — mamy w domu sześć pustych, nie używanych nigdy pokoi.

— Och, nie martw się, jestem pewien, że MacDonnell rozwiąże ci ten problem, jak tylko dasz mu znać, że są jeszcze wolne miejsca!

— Ben, proszę cię. Jestem, zmęczona. Przestańmy się spierać.

— Zmęczona? No jasne, że jesteś zmęczona. A jak myślisz, dlaczego próbuję powstrzymać cię przed pakowaniem się w całe to przedsięwzięcie? Zaręczam ci, nie dlatego, że znajduję przyjemność w kłóceniu się z tobą. Nie chcę po prostu, żebyś zaharowywała się dla tych paru nędznych dolarów.

Umilkł, powstrzymany jej spojrzeniem i na chwilę, z rękami wciśniętymi w kieszenie, odwrócił się do okna. Przestraszyła się, że zamierza wyjść w ten sposób i wykrzyknęła jego imię.

— Ben, Ben, czemu jesteś taki niemądry? Czy ty myślisz, że przysporzy mi to pracy? Że zauważę w ogóle jakąkolwiek różnicę? Wiesz dobrze, że od dobrych paru lat nie obijam się. — Mówiąc opanowanym głosem patrzyła mu prosto w oczy. — Będę gotować to samo, co gotowałam dotąd dla siebie i dla dzieci; tyle że więcej — to wszystko. Żadnych cudów, żadnych ekstra potraw — taka była między nami umowa.

Ben stał plecami do niej, wahając się; po chwili Lessie ciągnęła dalej: — Ben, kochanie, gdybyś choć na chwilę pozbył się swoich uprzedzeń i spróbował poznać tych ludzi, zobaczyłbyś, że niewiele się od nas różnią. Nie możesz być taki zacięty, nietolerancyjny. Nie zatrzymasz biegu czasu, to walka z wiatrakami. Teraz wszystko się tu zmieni, czy nam się to podoba czy nie, i nic na to nie poradzisz. To, co ty nazywasz zaciszem, a ja — naszą izolacją, zostało zakłócone i z biegiem czasu ten proces będzie się tylko pogłębiać. Pamiętasz stare przysłowie? „Nie masz siły pokonać, to przyłącz się”. Spróbuj, Ben, proszę cię — zrób to dla mnie.

Ben odwrócił się i spojrzał na nią: marszcząc wciąż czoło, ale już z łagodniejszym wyrazem twarzy — znikła powoli indiańska maska. .

— Masz rację, kochanie — odezwał się wreszcie, a w niej serce drgnęło na dźwięk jego głosu: nie był może uszczęśliwiony, ale wyraźnie zaczynał godzić się z tym, co nieuniknione. — To ja jestem w błędzie. Przede wszystkim nie mam prawa mówić ci, co masz robić, a czego nie. Pewnie po części dlatego dostaję szału, kiedy robisz coś, co mi się nie podoba.

Z zewnątrz dobiegły ich głosy i Ben pochylił się szybko, przyciągnął ją do siebie i pocałował.

— Zostań na kolację, Ben — poprosiła, kiedy usłyszeli na frontowym ganku odgłos kroków.

— Dziękuję, kochanie, ale czeka na mnie matka — odparł Ben głosem matowym od czułości. — Chciałaby w najbliższym czasie przyjść i zobaczyć się z tobą. Wie, że ty jesteś zbyt zajęta, żeby przyjść do niej.

— Z przyjemnością w każdej chwili ją tutaj przyjmę, Ben. Wiesz o tym.

— Wiem, kochanie. Gdybyśmy tylko zdołali ją przekonać — ale nie da się, więc nie ma sensu w ogóle na ten temat rozmawiać — odrzekł Ben i Lessie przypomniała sobie, jak próbowali nakłonić panią Logan, by zamieszkała w domu Howellów, żeby Ben i ona mogli się pobrać, i jak starszka zawzięcie stawiała opór, aż w końcu uznali, że wszelkie wysiłki są nadaremne.

Głos Teresy — ciepły, dźwięczący mnóstwem złotych dzwoneczków (Lessie zawsze zdawało się, że je słyszy) — dobiegał teraz z korytarza. Chwilę później stała już w drzwiach kuchni, patrząc pogodnym, przyjaznym wzrokiem na Bena.

— Caro powiedziała mi, że tu jesteś, Ben. Cieszę się, że mogę cię poznać. — Wyciągnęła do Bena rękę i Lessie, obserwując go, zauważyła, jak ulega powoli czarowi Teresy i pomyślała, że pewnie jest tak za każdym razem, jeśli tylko tamta tego zapragnie.

— Nie uznasz, mam nadzieję, że nadużywamy gościnności Lessie — powiedziała Teresa i Lessie, zaniepokojona, zaczęła się zastanawiać, czy Teresa mogła słyszeć część ich rozmowy. — Jest tak urocza i taka dobra. Nie damy jej się przepracować, obiecuję!

— Świadomie na pewno nie, panno Carr — odparł Ben.

— Ty jesteś Ben, a ja jestem Teresa — proszę! Zostawimy sobie „pannę Carr” na czas, kiedy będę na scenie, dobrze? — Z każdym wypowiedzianym słowem w tonie jej głosu czuło się szczerłość i autentyczność jej serdecznego nastawienia.

— Dziękuję, Tereso. Z przyjemnością obejrzę cię na scenie — odrzekł Ben.

— Nie ma potrzeby czekać aż tak długo. Angus zamierza zorganizować party połączone z pokazem przedpremierowym — dla każdego, kto zechce przyjść — w sobotę przed otwarciem teatru. Mam nadzieję, Ben, że nie zabraknie cię i twoich przyjaciół.

— Dzięki, nie omieszkam — odparł Ben serdecznym tonem i uśmiechnął się do Lessie, która popatrzyła na niego rozpromieniona.

Kiedy pożegnał się i wyszedł, Teresa powiedziała cicho: — Kochasz go bardzo, prawda, Lessie?

— Z całego serca.

— A on cię uwielbia. Radość patrzeć na was, Lessie. Naprawdę, wielka radość. Miłość to jedyna doskonała rzecz w życiu. Owszem, boli czasem tak bardzo, że człowiek ma ochotę umrzeć. Ale kochać kogoś, stracić go — to cena, którą płacimy za przywilej należenia do drugiej osoby. Nikt nie chce żyć bez miłości; nieważne, jak bardzo to może potem boleć.

Mówiła ze łzami w oczach, załamującym się głosem. W tym momencie do kuchni wpadła Caro i Teresa szybko odwróciła twarz: chwila ulotniła się bezpowrotnie.

## ROZDZIAŁ 8

Angus wstał, ledwo panując nad zniecierpliwieniem, i rzucił szorstkim tonem: — Przerwa na obiad. Chcę was tu widzieć z powrotem o drugiej. Jasne, ty zostań jeszcze chwilę.

Teresa odwróciła się gwałtownie z nachmurzoną miną i wyszła ze stajni; reszta ruszyła za nią zostawiając Jane i Angusa samych.

Angus usiadł na brzegu kuchennego stołu, trzymając w nerwowych, niecierpliwych dłoniach zwinięty, oprawiony na niebiesko skrypt scenariusza. Z wyraźnym wysiłkiem starał się nad sobą panować. Jane siedziała nie patrząc na niego, z rękami złożonymi na kolanach.

— No i co, Jane? — odezwał się wreszcie Angus. — Co się dzieje?

Jane rzuciła mu zalęknione spojrzenie i szybko odwróciła wzrok.

— Nie wiem, Angus. Ja najwyraźniej... cóż, po prostu tego nie czuję.

— Zdajesz sobie oczywiście sprawę, że kładziesz całą scenę?

— Och, to chyba przesada, Angus. Mam zbyt małą rolę.

— Moja droga, nie ma małych ról — są tylko małej rangi aktorki.

Jane spuściła złoto-blond głowę, zaciskając ręce tak mocno, że paznokcie u nasady zrobiły się całkiem białe.

— Przykro mi — wyszeptała bezradnie.

— Twoje „przykro mi” nic nam nie da, Jane, jeżeli nie weźmiesz się w garść i nie zagrasz tego porządnie. — Angus wciąż jeszcze panował nad sobą, ale niechęć i zniecierpliwienie dały się wyczuć z tonu jego głosu. — Ta scena jest bardzo ważna. Powiesz pewnie, że w twoim scenariuszu zajmuje tylko kilka stron; owszem, a jednak właśnie w tej scenie Teresa przygotowuje widza do kluczowego tematu sztuki, który ciągnąć się będzie przez dwa następne akty. I trzeba naświetlić w tym momencie relację z młodszą siostrą. A ty nie starasz się pomóc. Masz dać Teresie energię do sceny, która następuje zaraz po twoim wyjściu, tymczasem kompletnie nie wczuwasz się w swój tekst. Naprawdę, Jane, jesteś jak drewno. Zaskakujesz mnie. Przecież stać cię na więcej.

Jane wyszeptała: — Może powinienś dać tę rolę Lucy Blair.

— Ja jestem reżyserem, Jane. I, jeśli pozwolisz, ja będę decydował, kto ma grać którą rolę.

— Przepraszam.

Angus wstał, rzucając scenariusz na stół.

— Może jesteś zbyt spięta, za bardzo się starasz. Będziemy dziś robić co innego, ty masz to popołudnie wolne. Idź w jakieś ustronne miejsce,

przemysł tę scenę i spróbuj pokazać coś nieco mniej przypominającego występy kółka gospodyń wiejskich.

Ostatnie słowa wypowiedział uszczypliwym tonem. Potem odwrócił się i wyszedł z teatru. Jane oparła głowę o stół kuchenny, wokół którego siedzieli czytając tekst sztuki i wybuchnęła płaczem.

Nie wiedziała, jak długo już siedzi tak sama, kiedy nagle usłyszała nad sobą ciepły, przyjazny głos: — Przestań, Jane. Nie wydarzyło się chyba nic aż tak straszego.

Zerwała się na nogi i ujrawszy Masona Lawrence'a odwróciła wzrok.

— Czy... czy inni też już wracają? — wyjąkała.

— Nie. Marudzą nad kolejną filiżanką kawy i kolejnym papierosem — odparł Mason, uśmiechając się do niej serdecznie. — Brakowało mi cię przy obiedzie i przyszedłem zobaczyć, co cię zatrzymało.

— Nie jestem głodna — wyjąkała znowu, nie mogąc opanować dławienia w gardle.

— Andy się nad tobą znęcał? — Mason mówił ścisłym, serdecznym głosem. — Widzisz, kochanie, ten sezon ogromnie dużo dla niego znaczy. A wiele zależy od pierwszego tygodnia. Jeśli powiedzie nam się w pierwszym tygodniu, to oznacza, że mamy szansę. Andy sflukał się do cna na tę inwestycję. Jeśli zrobimy klapę., cóż, Andy będzie musiał szukać sobie pracy, a to dla faceta takiego jak on oznaczałoby dotkliwą porażkę.

— Wiem o tym, panie Lawrence.

— Denerwuje mnie to!

Zamrugnęła ze zdziwienia oczami, zapomniawszy na chwilę o swoim nieszczęściu.

— Co pana denerwuje?

— To, że mówisz do mnie „panie Lawrence”. Czy mam rozumieć, że zaliczasz mnie do jednej grupy wiekowej z Carltonem Jamesem?

Ślad rumieńca pojawił się na jej splakanej twarzy i zdobyła się na słaby uśmiech.

— Nie, skąd. Tylko... nie mam śmiałości. Ja się ciebie boję.

Mason uniósł do góry brwi — teraz z kolei on był zdumiony.

— Na brodę Nieśmiertelnego Barda! — wykrzyknął. — Boisz się mnie? Czy mogę zapytać z Jakiego powodu?

— Bo jesteś takim wspaniałym aktorem. Jesteś na scenie taki swobodny, czujesz się tak pewnie. Ty nie grasz danej postaci, ty nią po prostu jesteś. Naprawdę, jesteś świetny!

Mason przyglądał jej się przez chwilę w zdumieniu, potem cicho zagwizdał.

— Niewiarygodne, żeby po tylu latach usłyszeć od dziewczątka o szafirowych oczach i srebrzysto-złoty włosach coś takiego! — Mason nie posiadał się ze zdziwienia.

— Kiedy to prawda, panie... Chciałam powiedzieć — Mason! — zapewniała go z przejęciem. Oglądałam chyba wszystkie spektakle, w których grałeś w Nowym Jorku i poza nim. Widziałam cię w kilku, które były słabe i których nie grano długo. Ale nigdy nie widziałem żadnego, w którym ty byłbyś słaby.

— Dzięki ci, dziecko! — odparł Mason śmiejąc się. — Czyżby niania zabierała cię, małego berbecia, na moje spektakle?

— Sama się zabierałam: od czasu jak, w wieku siedemnastu lat, zaczęłam studiować w szkole dramatycznej. To jest od trzech lat.

Mason przyglądał jej się z uwagą.

— To znaczy, że masz teraz dwadzieścia: jakieś trzy lata mniej niż ośmieliłbym się przypuszczać — skontaktował po chwili. — Ale nie zmienia do faktu... mhm... w każdym razie mnie w najmniejszym stopniu nie czyni to młodszym.

— Masz trzydzieści osiem — powiedziała Jane. — To najbardziej interesujący wiek u mężczyzny.

— Tak. Rozkłada go wtedy na cztery łopatki — mruknął z błyskiem humoru w oczach. — Musisz mieć chyba jakiś ukryty cel. Słucham, dziecko, co mogę dla ciebie zrobić?

— Przestać traktować mnie jak trzylatka i wybaczyć mi, że skończę tę rozmowę: dostałam na dzisiaj wieczór wolne, żeby zaszyć się w jakąś mysią dziurę i przeanalizować głębiej uczuć ukrytą w moich dwóch stronach tekstu.

Jane wstała: smukła, urocza istota w ciemnej sukni bez pleców; srebrzysto-złota główka uniesiona dumnie do góry.

— Rozumiem, że Andy nie był dziś rano zachwycony twoją „drewnianą” grą — wycedził Mason i szybko, zanim Jane zdążyła się obrazić, dodał: — Byłaś drewniana, wiesz o tym. Ale to dlatego, że byłaś zdenerwowana i spięta. Ja też nie jestem już dziś potrzebny na próbie. Co byś powiedziała na to, żebyśmy znaleźli sobie jakieś zaciszne miejsce — o co nie jest tu chyba na tym pustkowiu trudno — i może mógłbym ci pomóc. Jeżeli mi, oczywiście, pozwolisz?

Oczy Jane rozbłysły, jej śliczną twarzyczkę pokrył delikatny rumieniec.

— Naprawdę mógłbyś? — szepnęła zachwycona.

— Ależ, kochanie, nie reaguj, jakbym ci chciał wręczyć klucze do wszystkich królestw tego świata. Proponuję ci tylko pomoc w twoich zmaganiach z rolą — bronił się.

— Ale na pewno miałbyś ciekawsze rzeczy do roboty w wolne od próby popołudnie — protestowała Jane.

Mason roześmiał się, szczerze rozbawiony.

— To najbardziej naiwne — albo też najsubtelniejsze — stwierdzenie, jakie paść mogło z ust tak pięknej dziewczyny — oznajmił, po czym wziął ją pod ramię i wyprowadził przez scenę do wyjścia i na łąkę. — Od przyjazdu intryguje mnie ten rząddek wiersz. Wygląda to na miłe, zaciszne miejsce, nie sądzisz? — Usiedli pod wierzbami na porośniętym trawą małym pagórku, przy brzegu bystrego, wąskiego strumyczka; Mason otworzył scenariusz.

— Przede wszystkim zastanówmy się, jak ty widzisz dziewczynę, w którą masz się wcielić. Jakiego typu jest to osoba? — zaczął.

Pracowali przez ponad godzinę; Mason co jakiś czas poprawiał Jane, naświetlając jej jakiś aspekt charakteru postaci, aż w końcu Jane spojrzała na niego zdumiona.

— Sylwia jest realną osobą, widzisz to? Ona naprawdę żyje. Zaczynam ją czuć, rozumieć — mówiła uradowana.

Mason uśmiechnął się, zwinął skrypt i powiedział: — Na tym polega aktorstwo, moja droga; trzeba zrozumieć swojego bohatera, widzieć go jako żywego człowieka, wiedzieć, co zrobiłby, jak zareagowałby w danej sytuacji. Stojąc na scenie musisz zapomnieć, kim jesteś i skoncentrować się tylko na tym, kim jest „Sylwia”.

Przelecieli jeszcze raz szybko scenę — Mason udzielał ostatnich wskazówek; potem uśmiechnął się i pokiwał głową z aprobatą.

— Zagraj to tak jak teraz jutro na próbie, a Andy stanie na głowie z radości i będzie rzucać do góry kapeluszem — zawyrokował.

— Nie wiem, jak ci dziękować — powiedziała Jane z pokorą.

Mason przyglądał jej się przez chwilę badawczym wzrokiem, po czym zachichotał, diabełek znów zaigrał mu w oczach.

— Coś wymyślimy — powiedział figlarnym tonem, dodając zaraz: — Bardzo zależy ci na karierze w show-biznesie, prawda?

Jane spoważniała nagle i odparła z zaciętym wyrazem twarzy: — Nienawidzę show-biznesu!

Zaskoczyła go w równym stopniu gorycz w jej głosie, co same słowa i wpatrywał się w nią przez chwilę, zastanawiając się, czy dobrze usłyszał.

— Żartujesz, oczywiście — powiedział w końcu.



— Mówię całkiem serio.

— Więc po co, na miłość boską, walczysz, żeby za wszelką cenę zostać aktorką?

— Bo tego chce moja matka. Mason zirytował się.

— To naprawdę najbardziej idiotyczny argument, jaki w życiu słyszałem. Masz dwadzieścia lat i do tego stopnia trzymasz się mamusinej spódnicy? No nie, Jane, nie dajmy się zwariować!

— Wiem — skinęła głową rozgoryczona. — To brzmi głupio. Ale moja matka o niczym innym nie myśli niemal od dnia moich urodzin. Kiedy moi rodzice dowiedzieli się o możliwości stażu u Angusa MacDonnella, uparli się, że przyślą mi pieniądze i mam koniecznie wyjechać, bo są przekonani, że pó powrocie stąd drzwi Hollywood i wszystkich teatrów Nowego Jorku stać będą dla mnie otworem.

Mason przerwał jej: — A ty jesteś innego zdania? Jane spojrzała mu prosto w oczy.

— A ty? — zapytała.

Mason zawahał się, potem odparł szczerze: — Prawdę mówiąc, kochanie, jeżeli bycie dobrą aktorką nie jest twoim gorącym pragnieniem, jeśli nie jesteś zdecydowana walczyć do upadłego o każdą najmniejszą szansę, to byłoby rozsądniej dać sobie spokój i poświęcić się temu, czego chcesz naprawdę — czyli?

— Małżeństwu i rodzinie — odpowiedziała Jane nie zastanawiając się.

— Więc, do licha, dziewczyno, na co czekasz? — chciał się dowiedzieć Mason.

Jane uśmiechnęła się. — Na ogół do małżeństwa potrzebne są dwie osoby — wyjaśniła.

— Nie mów mi, że nie masz listy kandydatów walczących zaciekle o twoją rękę! — powiedział żartobliwym tonem, rzucając jej ciepłe, przyjazne spojrzenie.

— Jakąż ja mam szansę spotkać mężczyznę w moim wieku, który chciałby założyć rodzinę? Pamiętaj, że obracam się w środowisku show-biznesu — tylko że najwyraźniej jestem jedyną, która nie ma na punkcie show-biznesu bzika. Czy wyobrażasz sobie, żeby któryś z tych ambitnych młodych ludzi, których spotykam w biurach agentów, w szkole, czy nawet tutaj, miał ochotę brać sobie na głowę żonę i dzieci?

— To prawda. Kipling wiedział co nieco o życiu, kiedy pisał, że „ten podróżuje najszybciej, kto podróżuje samotnie” — wyjątek potwierdzający regułę: ja nie zaszedłem daleko, chociaż podróżowałem samotnie.



Jane przyglądała mu się przez chwilę, potem spytała cicho: — Bardzo ci to przeszkadzało — to, że byłeś sam? Machinalnie podniósł wzrok.

— Konkretnie chodzi ci o to, czy dla tak zwanej kariery nie zrezygnowałem z kogoś, kogo mógłbym pokochać? Zaręczam ci — nie! — zapewnił ją. — Dla mnie show-biznes to tylko praca, a nie, jak dla niektórych, początek i koniec wszystkiego. Oczywiście lubię to. Stale coś się dzieje. I nie jestem wcale aż taką gwiazdą — nieraz zdarza mi się oberwać po nosie. Przypuszczam, że nie dam się z teatru wykopać, aż osiągnę wiek Jamesa, a wtedy usunę się w zacisze jakiegoś domu dla emerytowanego aktora i zanudzać będę wszystkich pokazując bez końca swój zeszyt z wycinkami z prasy.

Zachichotał i ściszej dodając głos dodał: — Wiesz co, przyznam ci się, że nie mam nawet takiego zeszytu!

Spojrzała na niego zdziwiona. — Ja mam — powiedziała szybko i zaraz zarumieniała się, widząc jego lekko rozbawione spojrzenie. — Och, nie o mnie — skąd bym je wzięła. Nigdy nie było na mój temat żadnych recenzji. Mam zeszyt z wycinkami o tobie.

Mason był kompletnie zaskoczony i to najwyraźniej niebył mile.

— Ty mała wariatko, do czego ci one potrzebne? — zapytał w końcu.

Spojrzała mu w oczy, nadal zarumieniona po uszy.

— Bo zawsze podziwiałam cię i podobały mi się wszystkie twoje role. A poza tym czemu nie miałabym?

— Bo taki dzieciak jak ty powinien zbierać fotki młodych silnych amantów jak Farley Granger czy Montgomery Clift, a nie jakiegoś starego zgreda!

— Obiecałeś, że nie będziesz mnie traktować jak trzylatki — oburzyła się. — Jeśli chcesz, pokażę ci ten zeszyt. Jest niezły, ale mogę nie mieć wszystkich twoich wycinków.

Mason uśmiechnął się wymuszenie.

— Jeśli masz choć z pół tuzina, to powinno być wszystko — zażartował, potem wstał wyciągając do niej rękę. — Chodź. Pojedziemy do miasteczka, przeberzemy się i zabieram cię do Atlanty na obiad.

— Angus nie będzie miał nic przeciwko temu? — zapytała.

Mason uśmiechnął się. — Wiem, że krótko trzyma stażystów, ale jeśli obydwójce stawimy się tu o dziewiątej rano z powrotem, to na pewno nie będzie zgłaszał zastrzeżeń. A stawimy się, obiecuję.

Kiedy w drodze do samochodu mijali teatr, dobiegły ich odgłosy idącej pełną parą próby. Mason mrugnął do Jane, ta zachichotała: skradając się na palcach do wozu udawali, że muszą wymknąć się stąd w pełnej konspiracji.

## ROZDZIAŁ 9

W sobotę przed otwarciem sezonu stajnia udekorowana była na przyjęcie, które Angus uznał za stosowne wystawić, ażeby zarówno, miejscowa ludność jak i letni turyści zaznajomić się mogli wcześniej z przygotowaną dla nich sceną. Przemyślnie postanowił zaangażować orkiestrę złożoną z sześciu górali z Mistrzem Billem na czele, znanym w całej okolicy ze swych niedoścignionych wykonań ulubionych tutaj kontredansów.

Ben, który przyszedł później niż inni, stał zaraz przy wejściu, obserwując tańczących i całą zmienioną scenerię stajni z rozbawieniem, ale też i z odrobiną żalu — wiedział jednak, że nie powinien tak tego odczuwać.

Kobieta obok, ubrana w białą prążkowaną sukienkę bez pleców — niemal równie głęboko wyciętą z przodu, co z tyłu — stanęła na palcach, żeby lepiej widzieć orkiestrę i śmiejąc się powiedziała do przyjaciela: — Nie wiedziałam, że Spikes Jones występuje teraz po stajniach.

Ben uśmiechnął się blado i ruszył na poszukiwanie Lessie. Zobaczył ją w końcu: tańczyła z Angusem Mac Donnellem śmiejąc się. Widać było, że najwyraźniej dobrze się bawi. Ben przyszedł późno, bo musiał załatwiać coś wcześniej w miasteczku; nie było powodu, by miała na niego czekać. Bardzo chciał, żeby się rozerwała i kiedy zobaczył ją w doskonałym humorze, uznał, że właściwie nie musi tam dłużej zostawać. Był zmęczony i matka siedziała sama w domu. Odwrócił się więc i ruszył przez oświetlony światłem księżycy parking w kierunku swojego wozu.

Siedziała w nim jakaś para i kiedy Ben zbliżał się już do wozu zamaszystymi krokami, widać było w środku małe zamieszanie po czym, kiedy dotarł na miejsce, z auta wygramoliło się dwoje młodych ludzi. Dziewczyna, ubrana w kolorową bawełnianą sukienkę, wyglądała w świetle księżycy niezwykle pięknie. Mężczyzna miał na sobie jasną sportową marynarkę i jaśniejsze jeszcze spodnie.

— Przepraszam — to pana samochód? — odezwała się dziewczyna czułym, pieszczotliwym tonem. — Juddy i ja nie mogliśmy już dłużej znieść towarzystwa tych wiejskich ćwoków. Boże, co za ciemnota! Jak oni tu żyją!

— Żyjemy nie najgorzej: to znaczy żyliśmy — dopóki nie zakłócono nam spokoju — odparł Ben.

Dziewczyna, zbита z tropu, zapytała: — Ale pan nie jest przecież chyba jednym z...

— Wiejskich ówoków? Owszem i jestem z tego powodu bardzo szczęśliwy, panno...

— Jestem Elaine Harlow.

— Jeśli pani wybaczy, panno Harlow — Ben wykonał ręką gest w kierunku samochodu i Elaine, odsunawszy się niechętnie od wozu, dotknęła szybkim ruchem jego ramienia...

— Mam nadzieję, że pana nie uraziłam, panie...

— Nazywam się Ben Logan.

— Przepraszam, Ben, z całego serca! Jeżeli jesteś jednym z miejscowych ludzi, w takim razie źle ich oceniłam — mówiła teraz ciepłym, ujmującym tonem.

— Podejrzewam, panno Harlow, że dla tutejszych ludzi nie ma większego znaczenia, co pani o nich myśli, podobnie jak górą w najmniejszym stopniu nie robi różnicy to, czy je pani lubi, czy nie. Te góry i ci ludzie są tutaj już od wielu, wielu lat i zapewniam panią, że trochę jeszcze potrwa, zanim znikną z powierzchni ziemi.

Ben wsiadł do wozu i odjechał; Jud i Elaine stali wpatrując się w odjeżdżający samochód. Jud zagwizdał cicho, patrząc na Elaine z wyrzutem.

— No to dałaś szkołę — odezwał się do niej. — Wiesz, jakiego Angus ma bzika na punkcie „dobrych stosunków z mieszkańcami”. Jak się dowie, że obraziłaś jednego z miejscowych prominentów, dostanie szału. Gwoli twojej informacji: dzentelmen, z którym właśnie mieliśmy przyjemność, jest zaręczony z naszą uroczą właścicielką stajni, panną Howell.

— Zaręczony? Taki przystojniak zaręczony z tą małą prostaczką? Juddy, to okropne!

Jud zmarszczył brwi zażenowany jej słowami, pełen dezaprobaty.

— Co w tym okropnego? Obydwoje są stąd. My jesteśmy z zewnątrz i — miał rację — zakłócamy im spokój. Oni spędzili tutaj całe swoje dotychczasowe życie.

— I pewnie dlatego wydaje mu się, że ją kocha — stwierdziła Elaine w zadumie.

— Wydaje mu się?

— Nie sądzisz chyba, że mógłby ją kochać naprawdę. To takie głupie stworzonko. Interesuje ją gotowanie i gospodarstwo. Czy uwierzysz, że ona robi własnoręcznie całe pranie? Widziałam, jak raz wieszala na sznurze całą imponującą górę świeżo wypranej bielizny.

Jud przyglądał jej się przez chwilę w świetle księżycy i to, co zobaczył w jej pięknej twarzy, nie spodobało mu się. I zniknął na chwilę w jego oczach cały jej nieodparty czar, jej powab. Na pełnych, wymalowanych szminką

ustach delikatny, a jednak okrutny uśmiech; lekko zwięzione oczy. Wygląda, pomyślał Jud, jak wielka lśniaca kocica, szykująca się do skoku na małego, bezbronego królika.

Elaine zdała sobie teraz sprawę z szorstkości jego tonu i przechyliwszy głowę spojrzała na niego chłodnym, wyniosłym wzrokiem.

— O co chodzi? — spytała drwiącym tonem.

— Posłuchaj, Elaine — był wciąż tak samo szorstki. — Nie mam ochoty wylecieć z pracy jeszcze przed rozpoczęciem sezonu. Cokolwiek kombinujesz w tej swojej przewrotnej główce, jak nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Ci ludzie byli dla nas bardzo serdeczni i mili. Rzucanie im w twarz obelg nie świadczy o zbyt dobrych manierach. Ty możesz dać się wyrzucić, jeśli ci na tym bardzo zależy, ale...

Zamilkł zaskoczony jej nagłym wybuchem śmiechu.

— Angus MacDonnell miałby mnie wyrzucić? — zdawała się być tym pomysłem szczerze rozbawiona. — Jeśli już, to raczej ja mogłabym go wyrzucić.

Jud poczuł, że ma ochotę ją uderzyć. — Doprawdy? — Był teraz świadomie nieprzyjemny. — A kimże ty jesteś, jeśli wolno mi o to zapytać?

— Jestem tą, ktprej zawdzięcza połowę finansów, a jeśli okaże się, że potrzeba mu więcej, będzie mógł dzięki mnie zaciągnąć kredyt — powiedziała z naciskiem.

Jud był niemile zaskoczony i otwarcie pełen wątpliwości.

— Chcesz powiedzieć, że wspierasz finansowo teatr? Nie wierzę!

— Och, nie z własnych funduszy, oczywiście. — Elaine była jego zdziwieniem lekko rozbawiona. — Mam na myśli producenta, który po udanych zdjęciach próbnych podpisał ze mną kontrakt. Paragon Productions, Inc. Chcieli, żebym miała więcej praktyki — takiej, jakiej nie mogłaby zapewnić mi ich szkoła dramatyczna na Wybrzeżu. Więc wysłali mnie na letni sezon do MacDonnella. Mam być „szkolona na gwiazdę”, jak to określają w pismach filmowych. I właśnie w związku z tym Paragon Pictures wspiera przedsięwzięcie MacDonnella: zobowiązali się zapewnić mu tyle, ile będzie potrzebował. Nie dysponował zbyt wielką sumą, a miał ambicję wystawiać naprawdę dobre sztuki — już same honoraria za prawa przekraczały jego możliwości. Więc Paragon płaci za prawa i zgodził się pokryć wszelkie inne koszty. On miałby mnie wyrzucić? Juddy, kochanie, nie rozśmieszaj mnie.

Jud spojrzał na nią, zrzucając jej rękę ze swego ramienia, jakby samo dotknięcie było mu obrzydliwe.

— Więc kłamałaś — powiedział oskarżycielskim tonem.

— Nie kłamałam, Juddy. Tylko... miałam o tym nikomu nie mówić. Obiecałam, że pozostanie to tajemnicą, żeby Teresa, urażona, nie wycofała się z przedsięwzięcia. Dopóki będzie przekonana, że jestem tylko członkiem zespołu i to grającym poślednie rólki, i że nie dorastam jej do pięt — to wszystko będzie dobrze. Ale jeśli odkryje, że popiera mnie Paragon i że Angus MacDonnell nie może mnie zwolnić...

— Daj spokój — przerwał jej Jud ostro. — Nie licz na to, że nie może cię zwolnić, że nie zrobiłby tego, gdybyś przekroczyła pewne granice.

— Kochanie, nie złość się na mnie — prosiła przymilnym głosem, przysuwając się bliżej, tak żeby dosięgnąć go mógł ciężki, egzotyczny zapach jej perfum; żeby wydała mu się jeszcze bardziej kusząca, podniecająca. — Nie powinnam była obrażać narzeczonego panny Howell. Postaram się to przy najbliższej okazji naprawić. I nie powinnam ci była mówić o Paragon Pictures i całej tej sprawie. I nie miałam zamiaru, Juddy — po prostu wysnęło mi się. Koszmarnie się tu czuję. I jestem tak cholernie samotna. Nikt za wyjątkiem ciebie nie okazał mi tu nawet odrobiny sympatii. Chociaż ty się na mnie nie wściekaj, Juddy, proszę!

Położyła mu rękę na plecach, delikatnie głaszcząc go z tyłu głowy; drugą ręką przyciągnęła jego usta do swoich i położyła na ich gorący, przeciągły pocałunek.

Jud przyjął pocałunek, potem odzajemnił go. Objął ją i przytulił mocno do siebie, mówiąc matowym głosem: — Jesteś bardzo niebezpieczną kobietą, Elaine. Bardzo, bardzo niebezpieczną. Głupiec ze mnie — nie powinienem cię słuchać.

Elaine zachichotała — brzmiało to jak cichy, zadowolony pomruk kota.

— Oczywiście, że jestem niebezpieczna, kochanie. Z odpowiednim mężczyzną i przy odpowiednich okolicznościach każda kobieta jest niebezpieczna — szczebiotała. Nagle, z nutą niepokoju w słodkim, przymilnym głosie, zapytała: — Obiecasz mi, że nikomu nie powiesz, kochanie?

Nie powiem pod warunkiem, że będziesz się dobrze sprawować — odparł Jud, przyciskając ją mocno. — Ale jeden fałszywy ruch i będziesz mogła mieć pretensje tylko do siebie.

Elaine zaśmiała się cicho i nadstawiła mu usta do pocałunku. W świetle księżycy nie mógł zauważyć drwiny w jej oczach. Jej słodycz upajała go, czuł lekki zawrót głowy.

## ROZDZIAŁ 10

Próba kostiumowa, która odbyła się rankiem w dniu otwarcia, przebiegła jak zwykle gładko, nie licząc nieprzewidzianych, ale przecież nieuniknionych drobnych trudności. Kiedy po ostatnim akcie opadła kurtyna, Angus uśmiechnął się do swego zespołu i podniósł do góry złożone dłonie w geście zwycięstwa.

— Wspaniale, dzieci! Byliście naprawdę niezli. Zagrajcie tak dziś wieczór, a sukces murowany. Dzisiejsze popołudnie jest wolne: musicie złapać oddech — powiedział. Potem zwrócił się do Jane: — Jane, zaczekaj chwilę.

Wstrzymawszy oddech, Jane spojrzała na stojącego obok niej Masona. Mason uśmiechnął się krzepiąco i szepnął: — Głowa do góry, kochanie. Byłaś w porządku.

Kiedy reszta aktorów wyszła, Angus usiadł na oparciu wielkiej sofy zajmującej teraz miejsce, w którym stał podczas prób stół kuchenny i skinął na nią głową.

— Byłaś bardzo dobra, Jane. — W oczach dziewczyny widać było wyraźną ulgę. — Obserwuję cię przez ostatnie dni i zauważyłem ogromny postęp. Chciałem ci tylko powiedzieć, że jestem z ciebie zadowolony.

Jane promieniowała radością.

— Mason się ucieszy — powiedziała podniecona.

Angus spojrział na nią zaskoczony.

— Mason? A co on ma z tym wspólnego?

— Pomagał mi, dawał mi wskazówki. Jest cudowny, prawda? — powiedziała radośnie.

Angus przyjrzał jej się uważnie. Odparł lekkim tonem: — Och, Mason to świetny facet. Szkoda tylko, że brak mu ambicji.

Jane oburzyła się: — Jak możesz tak mówić? On jest ambitny. Jest wspaniałym aktorem. Co więcej, jest też wspaniałym człowiekiem!

— A czy wiesz, Jane, czego on w życiu pragnie najbardziej?

— Oczywiście, że nie — odparła Jane z podniesioną głową. — Czyżby tobie się wydawało, że wiesz?

Angus poczuł się lekko dotknięty. — Mason i ja od lat się przyjaźnimy. Wiemy o sobie więcej, niż ci się zdaje. Szczytem jego marzeń jest zarobić tyle pieniędzy, żeby móc zaszyć się w jakimś małym miasteczku i spędzić tam resztę życia nic nie robiąc. Żyjąc wreszcie jak człowiek, jak to określił.

— Widzisz w tym coś złego? — spytała Jane wojowniczym tonem.

— Oczywiście, że nic. Tylko wydaje mi się to marnowaniem naprawdę wielkiego talentu.

— A może dla niego więcej liczy się szczęście i zadowolenie z życia niż bycie wielką gwiazdą.

— Pewnie tak — Angus zaczynał mieć już dość tej dyskusji. Z lekka też zaniepokoił się, widząc, jak bardzo dziewczyna zdawała się być przejęta osobą Masona Lawrence'a. — Posłuchaj, Jane, kiedy przyjmowałem cię na staż, obiecałem, że będę się tobą opiekować, pilnować cię.

— Z powodzeniem mogę pilnować się sama; jak na razie, żadne niebezpieczeństwo mi nie zagraża — zapewniła go Jane ostrym tonem.

Zapomniała na chwilę, że rozmawia z Angusem MacDonnellem i że jest tylko jego uczennicą.

Przez chwilę trwało milczenie, potem Jane, przechyliwszy piękną bródkę zapytała z lodowatą grzecznością: — Czy to wszystko, panie MacDonnell?

Angus skinął głową. — Tak, Jane — na razie to wszystko.

Odwróciła się, przemaszerowała przez scenę i wyszła na zalany słońcem parking. Angus, wciąż siedząc na oparciu kanapy, obserwował, jak wsiada do samochodu Masona i odjeżdża.

Pogrążony w zadumie, niezbyt zachwycony, Angus wyszedł z teatru i ruszył w kierunku domu Howellów, gdzie przy wielkim stole pod drzewami Caro i Teresa uwijały się, pomagając Lessie w przygotowaniu obiadu.

Angus rozejrzał się po twarzach. Brakowało Elaine i Juda.

Teresa przyglądała mu się i kiedy skończyli jeść, wstała i dotknęła lekko jego ramienia.

— Chodź się ze mną przejść, kochanie. Chcę z tobą porozmawiać — powiedziała ciepłym tonem.

Angus podniósł się z miejsca i, obserwowani przez cały zespół, skierowali się wolnym krokiem ku ścieżce prowadzącej przez sad do góry, w kierunku miejsca, gdzie Teresa pierwszy raz spotkała Ellie. Tam odwróciła się, uśmiechnęła, opadła miękko na kłujący materac z sosnowych igieł i ręką wskazała mu miejsce obok siebie.

— No, powiedz mamusce — przemówiła do niego czułym, lekko żartobliwym tonem — co cię gnębi? Przecież nie spektakl: zapowiada się znakomicie. Nawet piękna Elaine dobrze się sprawuje, a to już sukces! Więc o co chodzi?

Angus uśmiechnął się do niej. — Tak wszystko po mnie widać?

— Oczywiście, kochanie. Uczucia mężczyzn nie trudno rozszyfrować — kochającym ich kobietom! — powiedziała wesoło, potem uśmiechnęła się z



jeszcze większą czułością. — A ja przecież cię kocham, Andy; wiesz, jak bardzo i dobrze wiesz, w jaki sposób! Więc mogę ci to wyznać bez obaw.

— Jestem ci wdzięczny — powiedział Angus z taką szczerością, że zdanie to, mimo swej zwyczajności, zabrzmiało prawdziwie wzruszająco. — Martwię się trochę o Jane.

— O małą Ellerbe? Czemu, Andy, jest całkiem dobra!

— Zgadnij, komu to zawdzięcza.

— Nie tobie?

Angus potrząsnął głową.

— Więc komu?

— Lawrence'owi.

Teresa zmarszczyła czoło, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

— Co w tym złego? Poza tobą, nie widzę tu nikogo bardziej kompetentnego niż Lawrence, kto mógłby ją czegoś nauczyć.

— Ale ona się w nim zakochała.

— Och, Andy, daj spokój! Przecież to jeszcze dziecko. Mason ma pewnie dwa razy tyle lat co ona. To zwykłe dziecinne zauroczenie. Potrwa jeszcze parę lat, zanim Jane dowie się, co znaczy miłość.

— Ona ma dwadzieścia lat, Tereso.

Teresa spojrzała na niego z czułym uśmiechem i błyskiem w oczach.

— A Mason ma ile? Po czterdziestce?

— Między trzydzieści pięć a czterdzieści. Co to ma do rzeczy? Jest cholernie atrakcyjnym facetem. Jednym z naj...

— Więc w czym problem?

— Jane to taki uroczy dzieciak. Nie chcę, żeby cierpiała.

Teresa roześmiała się i objęła go.

— Och, Andy, kochanie, nie możesz brać na swoje barki problemów całego świata! Jane, zanim skończy trzydziestkę, sto razy zdąży się jeszcze zakochać i odkochać — i czemu nie? Jakże mogłaby zostać dobrą aktorką, nie doświadczając w życiu emocji?

Angus patrzył na nią przez chwilę, potem skinął głową. — Cóż, ty jesteś kobietą i jednocześnie dobrą aktorką. Widocznie wiesz, co mówisz — zgodził się.

W tej chwili zniknął z twarzy Teresy uśmiech i spuściwszy wzrok, zaczęła bawić się brzegiem sukienki, koncentrując na tym, zdawało się, całą swoją uwagę.

— Tak, wiem, co mówię — powiedziała cicho. Potem spojrzała na niego i dodała: — Nigdy ci się nie odwzajemnę za to, co dla mnie robisz, Andy.



— Mylisz się, Tereso. To ja powinienem być wdzięczny tobie za nasz wielki sukces — powiedział poważnie.

— Och, nie mów „hop"! Nigdy, przenigdy nie decyduj, że jakieś przedstawienie jest sukcesem, zanim nie odbędzie się premiera i nie zobaczysz pierwszych recenzji — mówiła na wpeł żartobliwym, na wpeł poważnym tonem. — Ale masz dobry zespół, kochanie i świetnie dobrany repertuar. Zaczynam chyba nawet lubić Elaine — nie, to może za dużo powiedziane. Powiedzmy, że nie działa mi na nerwy tak, jak na początku; zwłaszcza teraz kiedy wiem, że jest tylko „wypożyczona" na jakiś czas z Paragon Pictures.

Angus spojrział na nią zaskoczony.

— A skąd o tym wiesz? — zapytał. — To miała być tajemnica.

Teresa parsknęła śmiechem. — Tajemnica? Elaine biega i roznosi tę twoją tajemnicę po całym zespole. Poza tym pisali o tym w kolumnie z ploteczkami jednej z nowojorskich gazet. Naprawdę myślałeś, że może to mieć dla mnie jakiegokolwiek znaczenie? Że mogłabym być aż tak małostkowa i prymitywna?

— Nie widzę powodu, dlaczego ty miałabyś się tym przejąć. Chodziło mi o innych: nie wiedziałem, jak zareagują na wieść, że Elaine nie jest zwykłą stażystką i że po skończeniu sezonu pojedzie stąd prosto do Hollywood. Uznałem, że lepiej dla dobra zdrowych stosunków wśród zespołu, jeśli będą myśleć, że ma tutaj taki sam status jak inni.

Teresa skinęła głową w zamyśleniu.

— To bardzo piękna dziewczyna i pewnie bosko wygląda na ekranie — powiedziała. — Tylko zupełnie nie mogę zrozumieć, dlaczego Paragon Pictures uparli się, żeby uczyć ją aktorstwa. Z takim wyglądem? Widzowie walić powinni drzwiami i oknami, żeby móc popatrzeć na tak śliczną buźkę.

— Wytwórnia uważa, że ma też zadatki na dobrą aktorkę.

— A ty, jak uważasz?

Angus zawahał się. — Jeśli nauczy się słuchać wskazówek, zachowywać jako tako, i jeśli będzie ciężko pracować — to jest jakaś słaba szansa.

— Cóż, jeżeli rzeczywiście ma możliwości, na pewno to z niej wydobędziesz: jesteś świetny — zapewniła go, potem wsunęła rękę w jego dłoń i dodała z zapalem: — Andy, kochanie, zróbmy coś razem na Broadwayu.

— Mówisz poważnie? — spytał zaskoczony. Teresa skinęła głową. — Najpoważniej w świecie.

Obrzydło mi już życie, które prowadziłam, zanim, wyciągając z domu niemal za włosy, zmusiłeś mnie do przyjazdu tutaj. Nigdy nie kończące się

dnie, koszmarne noce. Teraz wstaję codziennie ze świadomością, że czeka mnie dzień ciężkiej pracy a kiedy po spektaklu opada kurtyna, jestem już tak zmęczona, że nie mam potem kłopotów ze spaniem. Czuję, że Ted byłby chyba zadowolony. Jak sądzisz?

Angus położył rękę na leżącej na jego ramieniu dłoni Teresy i przycisnął ją mocno.

— Jestem pewien, Tereso. Takiego talentu jak twój nie wolno marnować. Tyle lat ciężkiej pracy nie może pójść na marne tylko dlatego, że przestałaś czuć smak życia. Zrobimy coś razem jeszcze tej jesieni; poproszę Billa, żeby zaczął szukać dla nas jakiegoś tekstu — mówił z zapałem.

Teresa spojrzała na niego z czułym uśmiechem lekko zamglonymi oczyma.

— Kochany Andy! — głos drżał jej nieznacznie. — Co ja bym bez ciebie zrobiła?

— Mam nadzieję, Tereso, że nigdy nie będziesz miała okazji tego sprawdzić. Będę pod ręką zawsze, kiedy tylko będziesz mnie potrzebować — powiedział Angus tonem tak szczególnym, że odruchowo spojrzała na niego i zaraz odwróciła twarz pokrytą nagle lekkim rumieńcem.

Żeby rozładować napięcie, Angus powiedział zupełnie już innym tonem: — No więc co robimy z Jané i z Masonem?

Teresa, zdziwiona, odpowiedziała szybko: — Oczywiście, że nic. Nie możesz ingerować w czyjeś życie, Andy. Nie jesteś aż tak dalece za nią odpowiedzialny — ani za nikogo innego. Zachowujesz się jak kwoka z kurczętami. Andy, muszę cię o coś zapytać. Może mnie wyśmiejesz — ale, ostatecznie, Jane to urocze stworzenie. Czy ty nie jesteś przypadkiem — jak by to powiedzieć — odrobinę zazdrosny?

Spojrzał na nią zdumiony, zmarszczył brwi.

— Zazdrosny? — powtórzył, jakby nie rozumiejąc.

— Dobrze, powiem wprost: jesteś może nią zainteresowany?

— Oczywiście, że tak — interesują mnie wszyscy moi aktorzy.

— Nie udawaj idioty, kochanie, bo nim nie jesteś. Pytam, czy sam nie jesteś w Jane trochę zadurzony?

Angus wpatrywał się w nią, nie mając wciąż pewności, czy mówi poważnie, aż wreszcie, spłoszyły na twarzy, wybuchnął śmiechem tak serdecznym, że Teresa poczuła się niemal dotknięta.

— Nie jest to chyba aż tak śmieszne! — rzuciła oschle.

— W twoich ustach owszem — zapewnił ją Angus. — I to ty, Tereso, coś takiego!

Znów ten szczególny ton głosu: Teresa znowu zarumieniła się i nie śmiała spojrzeć mu w oczy. Poczwała dziwną, obcą jej, obezwładniającą nieśmiałość, zupełnie jakby miała dwadzieścia lat — jak Jane. Zerwała się nieoczekiwanie, odwróciła do niego i ruszyła w dół ścieżką. Po chwili, dziwnie wzruszony, Angus poszedł w ślad za nią.

RS

## ROZDZIAŁ 11

Pani Logan stała — smukła, wyprostowana postać — na szerokim starym ganku, kiedy usłyszała na drodze warkot silnika. Utrata wzroku wyostrzyła jej słuch do tego stopnia, że wśród licznych przejeżdżających koło ich domu samochodów zawsze bezbłędnie rozpoznawała silnik auta Bena. Zwróciła teraz nie widzące oczy w kierunku drogi: choć minęło wiele lat od czasu, kiedy ostatni raz widziała krajobraz przed drzwiami domu, pamiętała dobrze każdy jego szczegół.

Wóz zatrzymał się i jej uszu dobiegł odgłos rozmowy. Zeszła na dół po schodach i ruszyła ścieżką w kierunku głosów, serdecznie witając swego gościa.

— Miło cię widzieć, Lessie — powiedziała, cudownie nieświadoma znaczenia tego słowa. — Słyszałam, że tego lata bardzo ciężko pracujesz.

— Wie pani przecież, ciociu Nancy, że gdyby było inaczej, na pewno częściej bym tu wpadała. — Lessie otoczyła ramieniem szczupłe ciało kobiety, prowadząc ją w stronę domu; przed schodkami odruchowo chwyciła ją za łokieć, chcąc pomóc wyjść na górę.

Pani Logan wyrwała jej się, podnosząc do góry siwą głowę.

— Dam sobie radę — powiedziała oschle.

— Przepraszam — Lessie rzuciła Benowi zakłopotane spojrzenie.

— Zapraszam do środka na szklaneczkę jabłecznika. — Pani Logan wspięła się po schodach i z ganku weszła do domu.

— Ależ ze mnie idiotka — zmartwiła się Lessie. — Ciągle zapominam, że nie znosi, kiedy jej się pomaga. Ona jest zdumiewająca, do mnie po prostu stale nie dociera, że można być tak samodzielnym.

— Nie przejmuję się, kochanie. Tak samo reaguje, kiedy próbują ją w czymkolwiek odciążyć. Nawet ogródek plewi zawsze sama — Ben uspokajał ją czule.

Usłyszeli w korytarzu jej zamaszyste kroki: szła tak szybko, jakby widziała nie gorzej od nich. Jedną ręką otworzyła drzwi, w drugiej niosąc ciężką tacę, na której stał wysoki, oszroniony dzbanek, szklanki i talerz z ciasteczkami.

Ben zrobił ruch, żeby wziąć od niej tacę, ale w porę powstrzymał się. Jego matka zdecydowanym krokiem skierowała się do małego stolika stojącego przy starym bujnym fotelu i położyła tacę dokładnie w samym jego środku. Patrzyli zafascynowani, jak napełniła bo brzegi trzy szklanki, nie uroniwszy przy tym ani kropelki. Potem odwróciła się i powiedziała do Lessie:

— Podobno jesteś bardzo zaabsorbowana tymi artystami, Lessie. Maggie Westbrook mówi, że stajnia starego Howella zmieniła się nie do poznania.

— Pewnie pani tego nie aprobuję, ale ostatecznie, kiedy przyjdzie zima, pieniądze bardzo się przydadzą — odparła Lessie.

— Cóż, może dziadek byłby zadowolony i nawet dumny, że zostawił coś, z czego może się utrzymać jego rodzina — przyznała niechętnie pani Logan. — Chyba już stąd niedługo wyjadą, co?

— Za jakieś sześć tygodni — odpowiedziała Lessie. — Chciałabym, żeby mogła ich ciocia poznać. To bardzo mili ludzie, prawda, Ben?

— Niektórzy owszem — przyznał Ben ostrożnie.

— Ben, nie mógłbyś zająć się czymś przez chwilę i zostawić mnie z Lessie samą na „babską rozmowę”? — spytała nagle pani Logan.

Ben i Lessie wymienili szybkie, zaskoczone spojrzenia i Ben podniósł się z miejsca.

— Czemu nie? — odrzekł. — Masz dla mnie jakąś robotę? Co zostało do zrobienia na wieczór?

Pani Logan uniosła twarz, tak że była teraz w promieniach słońca, i uśmiechnęła się.

— Nie ma chyba jeszcze trzeciej; jeśli chciałbyś o tej porze doić starą Bessie, to dostaniesz od niej porządnego kopniaka — sucho zwróciła mu uwagę. — Przejdź się na spacer. Zapewniam cię, że Lessie jest tu ze mną całkiem bezpieczna.

— Ani przez chwilę nie sądziłem inaczej — odparł Ben ponurym tonem i wyszedł.

Pani Logan siedziała milcząc, dopóki nie ucichły zupełnie odgłosy kroków Bena. Wtedy odwróciła twarz ku Lessie i Lessie miała absurdalne wrażenie, że kobieta ją widzi.

— Dwa, trzy dni temu miałam od Delsie list — powiedziała spokojnym tonem.

— Mam go cioci głośno przeczytać? — zaproponowała Lessie zdumiona.

— Maggie mi go już czytała; spędziła ze mną cały dzień. Robiliśmy przetwory — obiecałam Benowi, że nie będę robić ich sama — wyjaśniła pani Logan i ciągnęła dalej swój wywód: — On nie wie o liście. Wolę, żeby przez jakiś czas nie wiedział. Nie wiem jeszcze, jak mu powiedzieć, bo na pewno ciężko to przeżyje.

— Czy z Delsie coś się stało? Jest chora? — spytała Lessie zaniepokojona.

— Coś się wydarzyło. Ale to nie choroba. Delsie wyszła za męża.

Lessie siedziała zaszokowana, nie odzywając się. Pani Logan skinęła głową, zupełnie jakby mogła wyczytać coś z twarzy Lessie.

— Nie przyjeżdża w jesieni do domu — mówiła dalej bezlitośnie. — Jej mąż dostał pracę na Alasce i są już w drodze. Delsie to moje dziecko tak samo jak Ben. Zdaje się, że jest naprawdę szczęśliwa — albo raczej byłaby, gdyby nie dręczyły ją wyrzuty, że opuszcza mnie i Bena. Jest w tym człowieku chyba bardzo zakochana i on ma dobrą pracę więc będzie się mógł nią zaopiekować. Cieszy mnie, że jest szczęśliwa; ale martwię się ze względu na ciebie i Bena.

Lessie nie odpowiadała. Siedziała milcząc na gruzach swych zamków z piasku. Po krótkiej przerwie pani Logan ciągnęła dalej:

— Maggie bardzo przygnębił ten list: tak bardzo, że zrobiła mi awanturę.

— Nie miała prawa.

— Jej się najwyraźniej zdawało, że ma. Wytknęła mi, że stoję pomiędzy tobą i Benem, że przeze mnie nie możecie się pobrać. Nie mam wiele powodów, żeby czuć ochotę do życia, Lessie. I jeśli chodzi o mnie, mogłabym zejść z tego świata choćby zaraz.

— Ciociu, nie wolno tak mówić!

— Nie wiem, jak to możliwe, że wciąż jeszcze tu jestem: bezużyteczny, nikomu niepotrzebny wrak człowieka, który przeżył już dawno swój czas. Ale myślę, że dobry Bóg ma w stosunku do mnie swoje zamiary i kiedy uzna, że mam odejść, przyśle po mnie. I dopóki to nie nastąpi, mnie nie wolno samej przyspieszać swego odejścia.

— Ależ, ciociu! Nie będę tego słuchać.

— Będziesz słuchać, Lessie. Wysłuchasz mnie, bo od dawna chciałam ci to powiedzieć i wątpiałam już, czy kiedykolwiek będę miała okazję. Teraz mam okazję i dlatego będziesz mnie słuchać. — W swej ponurej determinacji, żeby dopiąć swego, pani Logan wydała się Lessie niemal przerażająca. — Maggie nazwała mnie głupią, starą egoistką, dlatego że nie chcę spakować rzeczy i zamieszkać z tobą, Benem i dziećmi w waszym domu, skoro przecież jest tam dość miejsca, a ty dopilnowałabyś, żebym czuła się jak u siebie.

— I tak by było, ciociu Nancy. Wie pani przecież, że tak by było. Zawsze!

Pani Logan uniosła głowę i oświadczyła z pasją:

— Nie mam najmniejszego zamiaru iść gdzieś, gdzie trzeba by mnie prowadzić za rękę i usługiwać. Wolę raczej umrzeć!

Lessie, przerażona przebijającą przez słowa kobiety udręką, nie śmiała powiedzieć słowa, bała się nawet zaprotestować.

— Obawiam się, że ty i Ben będziecie musieli na ten moment poczekać — powiedziała wreszcie pani Logan. — Na moją śmierć.

— Och, ciocia Nancy, jak może pani tak mówić?

— Czas chyba, żeby spojrzeć prawdzie w oczy, Lessie. Wygląda na to, że dopóki ja żyję, nie macie szans. Tutaj nie ma miejsca dla ciebie i dzieci. A dla mnie nigdy nie będzie miejsca pod dachem innej kobiety; nawet gdyby miała do dyspozycji czterdzieści pokoi, które dzieliłaby tylko z Benem.

Lessie odezwała się cicho: — Pani Logan, pani mnie nienawidzi, prawda? — Po raz pierwszy wydało jej się ponad siły użycie tradycyjnie używanej wśród górali w stosunku do starszej kobiety formy „ciocia”.

Pani Logan wahała się chwilę, wreszcie westchnęła.

— Nie mam dla ciebie więcej nienawiści niż każda matka dla kobiety, która chce poślubić jej syna — oświadczyła. — To nie to, żebym cię nienawidziła. Lessie. Chodzi o to, że nie chcę, żebyś wyszła za Bena.

— Pozwoli pani, że zapytam, dlaczego? Ma pani coś przeciwko mnie? Przez tyle lat nie sprzeciwiała się pani naszemu związkowi: wiedziała pani przecież, że się kochamy. Dlaczego czekała pani aż do tej chwili, żeby mi o tym powiedzieć? — Lessie mówiła cichym, ale pewnym głosem, choć przebijającą przez jej ton gorycz i głęboka uraza.

— Osobiście przeciwko tobie nie mam nic — odparła pani Logan starym, znużonym głosem. — Ale nie chcę, żeby Ben brał sobie od razu na głowę całą rodzinę: dzieciaki, które trzeba wychować, wykształcić i martwić się o nie przez całe życie.

Lessie drgnęła słysząc to i jej opalona twarz nagle pobladła.

— Cieszę się, pani Logan, że jest pani ze mną szczerą — powiedziała wolno.

— Uznałam, że trzeba wreszcie postawić sprawę jasno, Lessie; że powinnaś wiedzieć, co o tym myślę.

— Tak, teraz już wiem — odparła jej Lessie cierpko. — Czy Ben zna pani nastawienie?

— Nie rozmawiałam z nim na ten temat. Mężczyźni to zabawne stworzenia. Jak chodzi o kobietę, którą wydaje im się, że kochają — są ślepi jak krety.

— Rozumiem. Pani uważa, że kocha Bena bardziej ode mnie.

— Ja uważam? To śmieszne. Urodziłam go, nieprawdaż? Opiekowałam się nim całe życie. A coś ty dla niego zrobiła?

— Po prostu kochałam go — bardziej niż wszystko w świecie.

— Tak bardzo, że chcesz zrzucić na jego barki obowiązki, bez których doprawdy mógłby się obejść?

— Tak bardzo, że pozwoliłabym mu odejść bez słowa sprzeciwu, gdybym tylko miała pewność, że potrzebuje wolności.

Pani Logan zwróciła w stronę Lessie swe niewidzące oczy; na jej starej, pomarszczonej, śniadej twarzy pojawił się wyraz zdziwienia.

— Mówisz to poważnie? Nie paplasz tak tylko dla samego paplania? — zapytała.

— Oczywiście, że mówię poważnie.

— W takim razie cieszę się, że odbyliśmy tę rozmowę. Kiedy uwolnisz od siebie Bena, będzie mógł znaleźć sobie inną dziewczynę: taką, która nie wniesie do rodziny żadnego przychówku, z wyjątkiem ich własnego — i tak właśnie powinno być w przypadku dwojga młodych ludzi, którzy zaczynają dopiero życie.

— Tak pani jest pewna, że Ben zechce, żebym go uwolniła?

— Och, pewnie chwilowo myśli inaczej. Chodźcie ze sobą od czasu, jak byliście jeszcze pędrakami. Nie miał szansy zainteresować się inną dziewczyną.

— Wyjechałam przecież do szkoły do Laceyville, a potem Ben był za granicą. Miał więc chyba dość czasu, żeby zadecydować, że mnie nie chce.

— Tylko że przyjeżdżałaś do domu w każdy piątek i zostawałaś do niedzieli wieczór — a przez większość czasu byliście razem. Z kolei kiedy poszedł na wojnę, nie było chyba w okolicy zbyt wielu dziewcząt, którymi mężczyzna taki jak Ben mógłby się zainteresować — nawet gdyby miał czas. A z tego, co wiem, czasu nie miał.

Lessie usłyszała Bena pogwizdującego na ścieżce przed domem. Uciszącym gestem położyła dłoń na rękę pani Logan.

— Nas dwie Ben kocha ze wszystkich najbardziej — powiedziała cicho, pośpiesznie. — Nie będziemy go ranić. Nie może się dowiedzieć, co pani czuje. Jeszcze nie teraz.

— Muszę mu powiedzieć, że Delsie wyszła za mąż i nie wraca do domu.

— Czy może pani zostawić to mnie?

— Z miłą chęcią. Wcale nie uśmiechał mi się ten przykry obowiązek.

— Hej! Co tam spiskujecie we dwójkę przeciwko męskiemu rodowi? — zawołał Ben zbliżając się przez podwórze do schodków.

— Nie twoja sprawa — Lessie siliła się na wesoły, drwiący ton.

— Właśnie że moja. Interesuje mnie wszystko, o czym rozprawiają moje kobiety. — Uśmiechając się do Lessie objął matkę czule ramieniem. Ale



ujrzawszy wyraz twarzy Lessie, nad którym nie była w stanie zapanować, zapytał zmienionym głosem: — Chyba nie posprzeczałyście się?

— A o cóż my mogłybyśmy się sprzeczać? — zaśmiała się Lessie i wstała.

— O mnie — zażartował Ben, ale wyraźnie nie było mu do śmiechu.

— Co za pewność siebie! Niech tylko dwie kobiety zaczną z sobą o czymś rozmawiać, a mężczyzna od razu jest przekonany, że mówią o nim — oburzyła się Lessie. — Naprawdę muszę już iść. Do widzenia, pani Logan.

— Do widzenia, Lessie — pani Logan była uprzejmie oficjalna, ale siłą przyzwyczajenia kazała jej dopełnić góralskiego obyczaju gościnności i dodać: — Wpadnij znów jak najszybciej.

— Dziękuję, wpadnę — odparła Lessie; zbiegła po schodkach i dalej prosto do samochodu Bena.

— Zaraz wracam, mam — rzucił Ben i poszedł za nią.

Po chwili ucichł warkot silnika. Pani Logan, złożonywszy razem powykęcane od pracy, stare ręce, siedziała na fotelu bujając się lekko; twarz miała całkiem spokojną.

## ROZDZIAŁ 12

Jak tylko samochód dojechał do szosy, Ben zatrzymał się na poboczu w cieniu przyjaznego dębu i z surowym wyrazem twarzy, zwrócił do Lessie:

— No dobrze, słucham. O co kłóciłyście się z matką? Tylko mi nie mów, że to nieprawda, bo za dobrze znam was obydwie, żeby dać się spławić jakimiś kłamstwami.

Lessie siedziała milcząco, z rękoma zaciśniętymi na kolanach, z twarzą odwróconą od niego, żeby nie mógł widzieć jej łez.

— Delsie nie wraca, Ben. Wyszła za męża i wyjechała na stałe na Alaskę.

Przez dłuższą chwilę Ben siedział wpatrując się w nią, nie mogąc, nie chcąc pojąć całego straszego sensu jej słów.

— Delsie... — zaczął, a potem szybko: — Nie mogła... nie zrobiłaby czegoś takiego.

— Zrobiła to i twoja matka jest zachwycona — powiedziała Lessie drżącym głosem. — Bo dzięki temu my nie możemy się pobrać. A ona nigdy tego nie chciała.

— Kochanie, chyba oszalała! Matka przepada za tobą. To prawda, nie umie okazywać swoich uczuć...

— Dziś właśnie okazała — stwierdziła Lessie. Wyraziła się bardzo jasno: od początku była przeciwna naszemu małżeństwu.

— To absurd, Lessie. Dlaczego miałaby być przeciwna?

— Z powodu dzieci. — Głos Lessie załamał się; Ben wziął ją w ramiona i przycisnął mocno do siebie, przytulając pociemniałą nagle twarz do jej miękkich, błyszczących włosów.

— Lessie, Lessie, kochanie, nie płacz.

Lessie wzięła głęboki oddech i na chwilę odsunęła się.

— Ona chyba ma rację, Ben. To byłoby nie fair z mojej strony obarczać cię obowiązkami, które, ostatecznie, nie są twoim problemem, tylko moim.

— Lessie, rozmawialiśmy już o tym setki razy — zaczął Ben poirytowanym tonem. — Wiesz, że uwielbiam dzieciaki; one też mnie lubią. Potrzebujesz, żebym ci pomógł w ich wychowaniu.

— Potrzebuję, żebyś mnie kochał! — powiedziała Lessie. — Ale twoja matka — Ben, ona mnie nienawidzi. Chce mieć cię przy sobie. Powiedziała, że będziemy musieli poczekać, aż umrze. Och, Ben, to było straszne. Mówiła takie rzeczy, bujając się na fotelu i patrząc na mnie zupełnie jakby mogła mnie widzieć; zdawało mi się, jakby miała w tym jakąś dziwną przyjemność.

— Przecież zawsze sprawiała wrażenie, że cieszy się z naszego związku!  
— Ben czuł się dotknięty i zaskoczony.

— Bo nie sądziła, żebyśmy kiedykolwiek zrealizowali nasze plany. Liczyła na coś takiego. Powiedziała, że jeżeli naprawdę cię Kocham, to powinnam zwrócić ci wolność. No więc, Ben, Kocham cię i zwracam ci ją.

— Serdeczne dzięki — odparł Ben cierpko. — To miło z twojej strony. Ale może byś tak zapytała najpierw mnie o zdanie. Otóż wybac, ale nie skorzystam!

Lessie odwróciła ku niemu mokrą od łez twarz i uśmiechnęła się — jakoś niepewnie i niezbyt przekonująco.

— Jestem okropna — wyjąkała przez łzy. — Sama powiedziałam jej przed chwilą, że nas dwie Kochasz najbardziej i że nie wolno nam cię zranić, a teraz wszystko ci tu opowiadam. Będziesz rozdarty między jedną a drugą. Ben, ja nie chciałam, żeby tak było — nie chciałam, nie chciałam...

— Cicho, Kochanie, cicho! — uspokajał ją; płacz przeszedł w ciche, żalosne łkanie, aż w końcu uciszyła się wtulając twarz w jego ramiona. — Porozmawiam z nią jeszcze dziś wieczór: musimy ją przekonać, żeby... żeby była rozsądna.

Odwiózł ją wreszcie do domu. Popatrzyli na siebie tylko w milczeniu, bo żadne z nich nie umiało znaleźć słów na pożegnanie. Lessie stała na ganku, obserwując, jak jego samochód znika na końcu drogi. Potem wchodziła do domu z ramionami opuszczonymi bezradnie i z poczuciem beznadziejnej porażki.

## ROZDZIAŁ 13

Na tylnym ganku panował teraz cień i było dość chłodno. Caro, wspiąwszy się po schodach, wzięła głęboki oddech i usiadła obok Lessie luskającej groszek na jutrzejszy obiad.

— Można ci pomóc? — zaproponowała wesoło i podniósłszy wielki gar pełen fasolki zaczęła ją łuskać. Jesteś przemęczona, Lessie. Może wolałabyś, żebyśmy się z Teresą wyprowadziły? Pewnie marzysz, żeby cały zespół poszedł sobie wreszcie do wszystkich diabłów. Teraz kiedy otwarto w hotelu nad jeziorem bistro, nie ma właściwie powodu, żebyś musiała dokarmiać co dzień hordę aktorów i znosić jeszcze potem u siebie mnie i Teresę.

— Cieszę się, że tu jesteście — odparła szybko Lessie. — Dzięki wam mam ciągle jakieś zajęcie.

— O, niewątpliwie, kochanie, niewątpliwie — przyznała Caro przypatrując się uważnie jej zmęczonej twarzy. — Ale, zdaje się, ciągły nadmiar zajęć nie jest twoim największym problemem. Trudno mi jakoś wyobrazić sobie ciebie siedzącą beczynnio — chyba że między dwunastą w nocy a czwartą rano.

— Można się do tego przyzwyczaić — odrzekła Lessie siląc się na uśmiech.

— Pewnie tak. — Niewprawne ręce Caro z błyszczącymi rubinowymi paznokciami wyluskiwały z cichym stukiem do garnka małe zielone kuleczki, skórki wrzucając do wielkiego naczynia ustawionego między nią a Lessie. — Podobno do wszystkiego można się przyzwyczaić, nawet do stryczka, jeśli powiśsz na nim dość długo. Ale nie mam specjalnie ochoty tego sprawdzać.

Lessie znów zrobiła wysiłek, żeby się roześmiać; Caro wciąż bacznie ją obserwowała.

— Coś nie widuję ostatnio tego twojego przystojniaka — powiedziała Caro tak nieoczekiwanie, że Lessie wstrzymała oddech. — Nie pokłóciliście się chyba, co?

Lessie, czerwieniąc się, odrzekła szybko: — Oczywiście, że nie.

— To dobrze. Cenny towar należy pilnować. Czyha na niego zbyt wiele kandydatek w każdej chwili gotowych do skoku — ostrzegła ją Caro z uśmiechem. — Kiedy się pobieracie? Muszę wam wysłać jakiś wystrzałowy prezent.

— Nie pobieramy się! — odrzekła Lessie z goryczą i Caro uniosła w zdziwieniu brwi.

— Och, to przepraszam. Zawsze muszę z czymś wystrzelić! Ale zdawało mi się, że to było już ustalone.

— Było — przyznała Lessie. Potrzeba zwierzenia się komuś rozwiązała jej język. — Ale jego siostra poślubiła kogoś, kto dostał pracę na Alasce, a Ben nie może zostawić matki samej. Jest stara i niewidoma.

— Stara? Ile ma lat?

— Sześćdziesiąt dwa.

— Coś takiego! — oburzyła się Caro. — A czy wiesz, ile ja mam lat?

Lessie spojrzała na nią zdziwiona.

— Czterdzieści, może czterdzieści pięć — wykrztusiła, nie rozumiejąc zupełnie jej nagłej irytacji.

Twarz Caro rozjaśnił znów uśmiech. — Bóg ci zapłać, dziecko! Albo jesteś mistrzem kłamców, albo powinnaś pracować w służbie dyplomatycznej — zaśmiała się i rzuciwszy wzrokiem dokoła spytała ściszym głosem: — Obiecujesz dotrzymać tajemnicy?

— Oczywiście. — Lessie nie mogła pojąć, o co chodzi.

— W październiku — wtedy, w tym samym roku, kiedy ja byłam — byłaś pięćdziesięciu siedem — oświadczyła. Potem wrzuciwszy ramionami dodała: — A niech tam, mogę właściwie powiedzieć ci prawdę. Sześćdziesiąt jeden.

— Nie wierzę! — zdumiała się Lessie. Caro śmiała się.

— Bóg ci zapłać, ale to prawda. A ty mi tu śmiesz nazywać matkę twojego chłopaka starą! Przecież to najpiękniejszy wiek — tak sobie stale powtarzam!

— Z ludźmi w górach, którzy pracują ciężko od „niewidać” do „niewidać”, jest inaczej — zauważyła Lessie.

— A cóż to za fraza?! Muszę ją dołączyć do swojej kolekcji, jak tylko wyjaśnisz mi, co oznacza. „Od niewidać do niewidać”! Oświeć mnie, kochanie.

— To znaczy, że wstajesz wcześniej rano, kiedy jest jeszcze tak ciemno, że nic nie widać i pracujesz, aż robi się tak ciemna noc, że nic nie widać — śmiała się Lessie.

Obierała dalej fasolę, a Caro obserwowała ją z czułością i szczerą troską w oczach.

— A więc mama nie chce, żeby synek się ożenił — powiedziała w zadumie. — Czy to nie zabawne? Czasami dziwię się, że jakimkolwiek mężczyźnie w ogóle udaje się

kiedykolwiek chodziła po tym świecie. Każda kobieta o zdrowych zmysłach powinna na jej miejscu wejść na dach i krzyczeć z radości, że trafiła jej się taka synowa.

— Chodzi o dzieci — wyjąkała Lessie z zakłopotaniem.

— O dzieci? — zdziwiła się Caro.

— Pani Logan nie chce, żeby Ben brał sobie na głowę cudze obowiązki. Możliwe, że myślałaby w ten sam sposób każda matka. — Lessie bliska była płaczu, ale przyniósł jej ulgę fakt, że mogła zwierzyć się ze swojego zmartwienia tej serdecznej, ciepłej kobiecie.

— Z tego co zauważyłam — a mieszkając tu miałam okazję im się przyglądać — dzieciaki są przemiłe i sama radość mieć je wokół siebie. Starsza pani musi mieć chyba źle w głowie! — protestowała Caro gorąco. — Tak czy inaczej, twój chłopak jest już chyba dorosły i nie musi trzymać się mamusinego fartucha.

— Nie rozumiesz. Ona nie widzi, a mieszkają z Benem tylko, we dwoje i w okolicy nie ma blisko żadnych sąsiadów. Nie może jej tak po prostu zostawić — ona z kolei za nic w świecie się tu nie przeprowadzi.

— A nie możecie wszyscy wprowadzić się do niej?

— Tam nie ma miejsca — odparła szybko Lessie. — W domu jest tylko pięć pokoi. Ale nawet gdyby ich było piętnaście, nie zabrałabym dzieci gdzieś, gdzie nie są mile widziane.

— No tak, oczywiście! Boże, cóż za stara wiedźma!

— Nie, to nieprawda. Pani Logan to dostojna starsza dama, tylko że ma swoje przyzwyczajenia. Mieszkała w tym domu praktycznie całe życie: nic tam nigdy nie przestawiano i dlatego bez trudności może się w nim poruszać. Prowadzi dom, gotuje, sama dba o ogródek i jest tak samodzielna, jakby widziała. Tutaj wszystko byłoby dla niej nowe i ona... ale nie ma sensu o tym mówić. Powiedziała mi, że prędzej umrze, niż zostawi swój dom i przeprowadzi się do nas.

Caro zapytała: — Więc dzieci są jej jedynym argumentem przeciwko waszemu małżeństwu? A czy nie zdaje sobie sprawy, że za kilka lat dorosną i każde pójdzie w swoją stronę?

Lessie skinęła głową. — Tak będzie. Jim idzie we wrześniu do wojska i strasznie go to podnieca. Mary Sue chce wyjść za mąż. Obiecała mi, że zaczeka, aż skończy osiemnaście lat: teraz ma prawie szesnaście. Ale zostają wciąż Butch i Ellie.

W wielkiej, staroświeckiej kuchni Mary Sue słuchając rozmowy Lessie z Caro z szeroko otwartymi oczyma, pobladła nagle pod górką opalenizną.

Bezszelestnie wymknęła się korytarzem na frontowy ganek, gdzie stała przez chwilę drżąca, wtulona w szorstkie drewno filaru.

Wzięła głęboki, ciężki oddech i mocno zacisnęła dłonie. Widziała, że Lessie coś gnębi, ale myślała, że to tylko napięcie i zwykłe fizyczne zmęczenie, wywołane dodatkowymi tego lata obowiązkami. Uświadomiła sobie teraz, że Ben nie pokazywał się od ponad tygodnia; zbyt była zaabsorbowana swoimi dziecinnymi sprawami, żeby wcześniej to zauważyć. Ale teraz, kiedy stała w kuchni słuchając rozmowy zza ściany, prawda dotarła do niej z całą okrutną jaskrawością. Lessie nie mogła wyjść za mąż za Bena, bo ona, Jim, Butch i Ellie stali im na drodze.

Zeszła na dół po schodach, potem prosto ścieżką, starając się nie być widoczną z domu, aż znalazła Jima, rąbiącego przy stajni drzewo.

Jim podniósł wzrok i uśmiechnął się, ale uśmiech zniknął zaraz, kiedy zobaczył jej bladą, wystraszoną twarzyczkę.

— Co się stało? Nadepnęłaś na węża? — zapytał wychodząc jej szybko naprzeciw. — Zabiłaś go?

Mary Sue złapała go za rękę i Jim objął ją: zaniepokoił się czując jej drżące ciało.

— To nie wąż, Jim — odparła lekceważąc jego spanikowane spojrzenie. — Słuchaj, Jim, czy ty wiedziałeś, że pani Logan z naszego powodu nie chce zgodzić się na ślub Lessie z Benem?

Jim wpatrywał się w nią zaszokowany.

— A co takiego jej się w nas nie podoba? — zapytał.

— Jest — jest nas za dużo — wykrztusiła Mary Sue i przywarła do Jima: łyzy łały jej się ciurkiem po twarzy. — Och, Jim musimy znaleźć jakiś sposób, żeby wytłumaczyć pani Logan...

— Najchętniej wytłumaczyłbym jej to kijem baseballowym! Wiem, jest stara i niewidoma, ale to jeszcze nie powód, żeby miała zdręczać naszą Lessie. Do licha, przecież Ben ma prawie trzydziestkę. Niepotrzebna mu zgoda matki! — wybuchnął Jim.

— Och, nie bądź głupi. Wiesz przecież, że Ben nie zostawiłby jej samej, a ona nie chce przeprowadzić się do nas.

— Nie radziłbym jej! — skomentował Jim ponuro.

— Jim, co by tu zrobić? Lessie i Ben — przecież oni kochają się w sobie prawie od dziecka! Delsie miała skończyć szkołę i zamieszkać z matką. Ale chyba coś się wydarzyło, że zmieniła zdanie. W każdym razie Lessie jest załamana. I to przez nas.

— Cóż, ja we wrześniu zaraz po urodzinach idę do wojska — powiedział Jim. — To już będzie przynajmniej o jedno mniej.

— Ja mogłabym pojechać do Laceyville: znaleźć jakąś pracę i pójść do szkoły.

— To nie wchodzi w rachubę, dobrze wiesz. Lessie nigdy ci na to nie pozwoli.

— Cóż, nawet gdyby, to zostaje jeszcze Butch i Ellie.

— Ta stara czarownica życzyłaby sobie pewnie, żeby Lessie zrzuciła nas ze skały albo utopiła w jeziorze — stwierdził Jim z goryczą.

— Och, Jim, co my zrobimy — płakała Mary Sue.

— Nie wiem, mała — odparł Jim głaszcząc ją niezręcznie po ramieniu. — Ale coś wymyślimy.

— Musimy, Jim, po prostu musimy — odrzekła Mary Sue drżącym głosem.

— Na pewno, skarbie. Nie wiem jeszcze, co, ale coś wymyślimy! — obiecał Jim, wpatrując się w blade szaro-lawendowe cienie zmierzchu pełnzące coraz dalej w głąb doliny, w miarę jak słońce chowało się za błękitne ramiona Old Baldy. Zabrzmiało to jednak niezbyt przekonująco.



## ROZDZIAŁ 14

Motorówka pruća przez pomarszczone błękitne wody jeziora. Jane śmiejąc się głośno odrzuciła do tyłu błyszczące włosy.

Mason patrzył na nią z uśmiechem.

— Dobrze się bawisz? — pytanie było całkiem niepotrzebne.

— Och, cudownie! — Jane dała mu łatwą do przewidzenia odpowiedź.

— To było wspaniałe lato. Został jeszcze tylko miesiąc — czy to nie okropne?

— Cóż, w Nowym Jorku jesienią też podobno bywa ciekawie — słyszałem na ten temat piosenki.

W tym momencie Jane jakby trochę sposepniała.

— Szkoda, że autorzy tych piosenek niewiele wiedzą o godzinach spędzanych w poczekalniach agentów, kiedy człowiek robi dobrą minę udając, że tak naprawdę wcale nie trzeba mu pracy, że to sama frajda dostawać stale odprawę. Choćbyś umierał z głodu, musisz udawać, że świetnie się bawisz, a o pracę starasz się tak przypadkiem — tylko dlatego, że akurat przeczytałeś sztukę i czujesz, że rola, o którą się starasz, jest wprost wymarzona dla ciebie! A wszyscy i tak cały czas dobrze wiedzą, że łziesz w żywe oczy i że, jeśli nie dostaniesz tej roli albo jakiejś innej, pójdziesz na zasilek — o ile oczywiście możesz!

— To jest właśnie show-biznes — powiedział Mason.

— Kolejna strona show-biznesu, Tf59.64 0 TD (ę Tj/F1 fkórej nie znosz

— Więc dlaczego nie zerwiesz z tym, nie wrócisz do domu, nie wyjdiesz za mąż za chłopca z sąsiedztwa i nie założysz rodziny?

— Pewnie dlatego, że w sąsiedztwie nie ma żadnego wolnego chłopca, a poza tym mam przecież zrealizować ambicje matki.

Dojechali do przystani i Mason pomógł jej wysiąść z łodzi. W drodze na camping spojrzął na nią.

— Teraz, po sezonie z Andym, nie powinnaś mieć z agentami kłopotów — stwierdził i uśmiechnął się.

— To twoja zasługa, że w ogóle się tu utrzymałam. Spojrzała na niego poważnym wzrokiem i dodała! —

Choć nie wiem właściwie, czy jestem ci za to wdzięczna.

— Co ty wygadujesz? Jaki niby ja miałbym mieć z tym związek? — protestował Mason.

— Jak to jaki? Uczyłeś mnie przecież. Pomogłeś mi znaleźć właściwą interpretację roli — odparła szybko. — Nawet Andy to przyznał. Nawiasem mówiąc jest trochę zaniepokojony.

— Zaniepokojony? — Mason zdziwił się jeszcze bardziej.

Doszli właśnie do pierwszego, usytuowanego nad samym jeziorem rzędu domków i zatrzymali się na chwilę w cieniu wielkiego dębu. Jane stała patrząc na jezioro z twarzą odwróconą od niego, a kiedy odezwała się, jej głos był tak cichy i taki słaby, że przez chwilę Mason nie mógł dosłyszeć sensu jej słów.

— Jest zaniepokojony tym, że według niego zaczynam się emocjonalnie angażować — powiedziała, po czym odwróciła twarz i spojrzała mu prosto w oczy. — Uważa, że zakochałam się w tobie.

Mason, zdumiony, powoli zmarszczył brwi.

— To niemożliwe, żeby Andy był takim głupcem... — zaczął, ale ona, ignorując jego słowa, mówiła dalej tym samym cichym głosem.

— I oczywiście ma rację. Jestem w tobie zakochana. Ale ty nie musisz się tym przejmować. Wiem, że nie mam szans i że pomagałeś mi, bo jesteś wspaniałym człowiekiem i dlatego, że po prostu było ci mnie żal. Zawsze będę cię kochać, ale ty się tym naprawdę nie przejmuj. Wolę być nieszczęśliwie zakochana w tobie niż szczęśliwie w kimkolwiek innym.

Zrobiła krok, żeby odejść, ale Mason zdołał w tym momencie na tyle przełamać paraliżujące go osłupienie, żeby wyciągnąć rękę, zatrzymać Jane i odwrócić ją z powrotem twarzą ku sobie.

— Zaczekaj! — powiedział ostro. — Wystrzelasz nagle z taką bombą i potem chcesz tak po prostu odejść. Musimy porozmawiać.

— Nie mamy o czym rozmawiać — odparła stanowczym tonem, choć w oczach miała łzy. — Powiedziałam, co miałam do powiedzenia i na tym koniec — temat uważam za zamknięty.

— Na tym, do licha, wcale nie koniec! Ty mały głuptasie! To niemożliwe, żebyś była we mnie zakochana!

— Niemożliwe?

— Oczywiście, że nie. Mógłbym być twoim ojcem.

— To śmieszne. Co wiek ma tu do rzeczy? Jesteś ucieleśnieniem marzeń każdej dziewczyny; jesteś przystojny, atrakcyjny, pełen uroku, inteligentny... — mówiła drżącym głosem, zagryzając co chwilę mocno zębami dolną wargę. — Proszę cię, nie mówmy już o tym. Nie musisz mi mówić, że to głupie z mojej strony: sama to wiem. Niczego od ciebie nie oczekuję z wyjątkiem tego, żebyś był dalej moim przyjacielem.

Wyrwała mu się i pobięła ścieżką wzdłuż stawu, aż znalazła się przed domkiem, który dzieliła z Elaine. Drzwi zamknęły się za nią z trzaskiem. Mason stał nadal, wstrząśnięty, wpatrując się w ścieżkę.

Tak bardzo się cały czas starał, żeby ukryć przed nią swoje uczucia. Powtarzał sobie wciąż, że Jane to jeszcze dziecko: słodkie, urocze, kochane dziecko i że jest mu po prostu wdzięczna za to, że pracując z nią nad rolą pomógł jej zyskać aprobatę Andy'ego, ale powtarzał sobie, z tej znajomości nic ponad to wyniknąć nie może.

I nagle teraz to jej proste, szczere wyznanie: przeżył wstrząs. Poczuł, że jeszcze chwila a otworzyć się mogą drzwi jego serca, które trzymał tak skrupulatnie i szczelnie zamknięte. Nie może na to pozwolić. Nie z tym dzieckiem. Bo dla niego było to wciąż jeszcze dziecko. Zauroczenie minie jej, jak tylko skończy się sezon i wróca do Nowego Jorku. Oślepiła ją ta idylliczna sceneria, w której zawiązała się ich przyjaźń. Tak, do diabła, to przez tę bliskość psychiczną w scenerii przyrody — przez to wydaje jej się, że jest w nim zakochana. Ale to przecież nieprawda! To... — do licha — nawet nie wolno mu myśleć, że to prawda!

Wziął głęboki ciężki oddech, lekko drżącą ręką zapalił papierosa i ruszył w stronę domku, który dzielił z Jamesem Carltonem.

Carlton siedział przed domkiem na płóciennym leżaku ze stertą teatralnych pism na kolanach; w starannie wypielęgnowanej ręce trzymał „Variety”.

— Witaj, chłopcze! — James utożsamiał się już niemal z graną w tym tygodniu rolą pompatycznego nieco człowieka od wielkich interesów. — Gdzie to się podziewasz? Nie widziałem cię od rana.

— Wynająłem motorówkę i zabrałem Jane na przejażdżkę — odparł Mason i opadł na leżak obok Carltona.

Carlton opuścił „Variety” i rzucił Masonowi znad okularów w rogowych oprawkach podejrzliwe spojrzenie.

— Dość często się z tym dzieckiem spotykasz, mój chłopcze — zagadnął niezobowiązującym tonem.

Mason odwzajemnił mu szybkie spojrzenie.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał. Carlton niewinnie wzruszył ramionami.

— Nic — odparł swym zwykłym tonem. Słyszałem, że niektórym moim znajomym dobrze się wiedzie w Citronella Circuit w Nowej Anglii. Jak o mnie chodzi, cieszę się, że wracam na Broadway. Wieś, przyroda, sielankowa atmosfera — to wszystko dobre na lato. Ale jednak wolę Broadway.

— Czemu nie Hollywood? — zapytał Mason sucho.

— Dla mnie w Hollywood nie ma miejsca. Aktorzy z moim emploi i w moim wieku nie są w Hollywood w cenie. Z przykrością muszę przyznać, że

na Broadwayu jest ich też w nadmiarze, ale — cóż, jeszcze wystarcza mi przynajmniej na łyżkę stawy — wyznał Carlton z nieoczekiwaną szczerością. — Ty, chłopcze, owszem, miałbyś wzięcie w Hollywood — ja nie.

— Dzięki — odparł Mason krótko.

— No cóż, jeśli nie robi na tobie wrażenia, jak producenci rzucają ci do stóp fantastyczne sumy...

— Mylisz się Carl, sądząc, że mój telefon urywa się od propozycji. Jestem już za stary do pewnych ról, do innych z kolei — charakterystycznych ról, jakie ty możesz grywać — wciąż jeszcze za młody — przypomniał mu Mason.

— Ale akurat w sam raz, żeby zagrać wyrafinowanego przystojnego cwaniaka, który używa swej złej uwodzicielskiej siły, żeby wyrwać niewinną młodą panienkę z ramion jej prawdziwej miłości, Johnny'ego Stalwarta.

Mason zmarszczył czoło. — Ale o czym to wcześniej mówiliśmy?

— Słowo daję, że nie pamiętam — odpowiedział Carlton uprzejmym tonem.

— Ja pamiętam. Zrobiłeś złośliwą uwagę na temat mojego częstego spotykania się z Jane. Co miałeś na myśli? — Mason był najwyraźniej poirytowany.

Carlton uniósł w zdziwieniu siwe brwi; ze swą różową, porządnie wygoloną twarzą wyglądał w tej chwili jak uosobienie niewinności.

— Złośliwą uwagę? Nic podobnego. Wspomniałem tylko, że ty i Jane nawiązaliście zdaje się — jak to określają w kolumnie plotek — „bliską znajomość”. Zapewniam cię, że nie miałem nic złego na myśli. Ostatecznie żyjemy tu tak wszyscy na kupie, że trudno nie wpadać na siebie częściej, niż by się czasem chciało.

— Pomagałem jej.

— Wiem i rzeczywiście zrobiła znaczne postępy. Świetny z ciebie nauczyciel.

— A teraz ten dzieciak ubzdurał sobie, że mnie kocha — wybuchnął nagle Mason.

Carlton nie śmiał się. Pokiwał tylko głową.

— A więc w końcu ci powiedziała? Reszta zespołu wie o tym już od pierwszego tygodnia — wyznał szczerze Carlton. — Ale nie martw się, chłopcze. Przejdzie jej to. To dość typowe w tym wieku. Beznadziejne zauroczenie dojrzałym mężczyzną — każda musi przez to przejść.

— Myślisz, że to nic więcej? — spytał Mason, zaniepokojony.

Carlton machnął ręką, w której trzymał „Variety”.

— A cóż miało by być więcej? Nie sądziłeś chyba, że to coś poważnego. To równie poważne jak wielkie miłości na statkach rejsowych: dwa tygodnie w słońcu na wodzie i do widzenia!

Mason uświadomił sobie ze zdziwieniem, że dotknęło go to; nie chciał, by Jane o nim zapomniała.

Carlton obserwował Masona kątem oka i zauważył malujące się na jego twarzy mieszane emocje. Uśmiechnął się lekko i zasłonił się swoją gazetą. Z jego wyblakłych oczu, gdyby móc je dostrzec, wyczytać można było tęsknotę za jakimś dawno umarłym wspomnieniem.

RS

## ROZDZIAŁ 15

Pani Logan przemierzała podwórze w kierunku domu pewnym krokiem, świadczącym o doskonałej znajomości każdego cala gospodarstwa.

Nakarmiła kurczaki, teraz musi zabrać się do przygotowania kolacji. Ben powinien już wkrótce być w domu. Westchnawszy weszła po schodach na górę i położyła ostrożnie na ławce przy drzwiach kosz pełen jajek.

Ben był ostatnio jakiś nieswój. Nie tylko martwiło ją to; dręczyło to jej sumienie, bo wiedziała, że ona właśnie jest przyczyną tej zmiany, że cierpi, bo nie może poślubić Lessie, ponieważ stoi między nimi matka.

— Ale ja nic nie mogę na to poradzić, Panie Boże — wyszeptęła zatrzymawszy się na chwilę w drzwiach kuchni z twarzą zwróconą ku niebu.

Założyła na perkalową suknię czysty kraciasty bawełniany fartuch i pochyliwszy się nad drewnem, które Ben przygotował w piecyku dziś rano, zapaliła zapałkę. Ugotuje mu pyszną kolację: to, co lubi najbardziej. Może wreszcie zje z większym apetytem niż ostatnimi czasy. Wszelkimi możliwymi sposobami starała się uciszyć szepcący w niej głos sumienia. Powtarzała temu głosowi, że zrobi wszystko, żeby odkupić swą niegodziwość; wszystko z wyjątkiem tego jednego — nie da zgody na ich małżeństwo. Tego zrobić nie może i nie zrobi! To ponad jej siły.

Trzeba zapalić stojącą na środku stołu lampę naftową. Ben lubił idąc ścieżką do domu widzieć w oknach światło. Jej samej nie robiło to oczywiście różnicy. Dla niej zawsze panowała noc, nie istniało światło, ale ze względu na Bena trzeba było zapalać lampę. Wzięła więc z pudełka na piecu długą kuchenną zapałkę, pewnym ruchem podniosła do góry klosz lampy, dotknęła zapałką knota i, odczekawszy aż się zapali, nasadziła klosz z powrotem na miejsce.

Sama nie potrafiła później ustalić, co się właściwie stało. Najwidoczniej, z powodu zmartwienia i nerwów, jej ręce nie były w tym momencie tak pewne jak zwykle. Klosz, zamiast na swoim miejscu, wylądował obok lampki, potrącając ją; pani Logan usłyszała, jak lampa spada na podłogę i rozbija się; potem zaraz poczuła błysk ognia — zapaliła się od knota rozlana nafta.

Cofnęła się do tyłu i przez moment stała zdjeta nagłą paniką. Gdzie są drzwi na tylny ganek? Musi się stąd wydostać! Za chwilę dom stanie w płomieniach; nie ugasi przecież ognia nie widząc go. Czowała żar, słyszała, jak płomienie wgrzyzają się łapczywie w starą drewnianą podłogę, przeskakując z foteli na ściany. Zaczęła, przerażona, obmacywać swą sztywno

wybrochmaloną perkalową sukienkę, ale z ulgą stwierdziła, że ta nie zajęła się jeszcze od ognia.

Potykała się wycofując wciąż do tyłu; poczuła, że opuściła ją cała pewność siebie — w panice straciła orientację w swym własnym mieszkaniu. Gdzie są drzwi? I skąd będzie miała pewność, że znalazła te właściwe drzwi, prowadzące z domu na ganek, a nie biega z pokoju do pokoju jak kurczak z obciętą głową! Zastaniając się przed rosnącym żarem zrobiła wysiłek, żeby się skoncentrować. Jej ręka napotkała klamkę: przekreśliła ją i nagle owiało ją świeże, chłodne, wieczorne powietrze. Trzymając się poręczy szła przed siebie, znalazła schody i zeszła po nich na tylny ganek. Ale gdzie teraz? Las był suchy jak papier, a dom otaczały same stare drzewa. Ogień szybko się rozprzestrzeni i może osaczyć ją równie łatwo poza domem jak w domu.

Żeby tak Ben już wrócił! Żeby udało jej się znaleźć ścieżkę prowadzącą do drogi. Szła łkając, potykając się co chwila, przerażona jak nigdy dotąd: w śmiertelnej panice rozplynęła się gdzieś nagle cała jej doskonale wyuczona znajomość okolicy. Odbiła się od wielkiego drzewa, za chwilę znowu na nie wpadła i przywarła do pnia, wsłuchując się w coraz głośniejszy ryk płomieni pożerających starą podłogę i meble, przenoszących się już na otaczające dom drzewa.

Och, gdyby potrafiła dotrzeć do pola za stajnią! — tam nie było drzew, niczego, co mogłoby się zapalić. Gdyby mogła dojść do połowy pola, byłaby ocalona. Jeśli to wielkie drzewo, o które się opiera, stoi z tyłu domu, jeśli wyszła tylnymi drzwiami, tak jak jej się zdawało, to wystarczy iść teraz w kierunku na zachód i znajdzie się na polu. Ale jeśli to jest drzewo stojące przy ścieżce, to do drogi można z tego miejsca dotrzeć jedynie przez las, między drzewami, które w każdej chwili mogą zamienić się w płonące pochodnie.

Panie Boże, spraw, żebym dotarła do pola. Boże, spraw, żebym dotarła do pola, modliła się i usłyszała głośny trzask: zawalił się dach domu.

Nie było już czasu na zastanawianie. Trzeba było natychmiast uciekać z tego piekła, którego żar czuła już nawet tutaj. Po omacku, z rękami wyciągniętymi przed sobą, przeszła przez jakąś pustą przestrzeń i natknąwszy się na drucianą siatkę, załkała z radości. Ogrodzenie dla kurczaków! To musi być to! Jeśli uda jej się obejść siatkę, dojdzie do zaoranej części pola i będzie uratowana!

Szlochając z przerażenia i szoku dotarła do rogu ogrodzenia i szła dalej. Nagle zatrzymała się w nowym przypiływie paniki. Jeśli pójdzie dalej wzdłuż ogrodzenia, dojdzie w końcu z powrotem do rogu stajni. A od niej

blisko do domu i wysokich drzew, które zawsze tak kochała, a które teraz stanowiły dodatkowe zagrożenie — byłaby więc znów w niebezpieczeństwie. Kiedy w końcu poczuła, że dobiegła do rogu ogrodzenia najbliższej pola, ciężko było jej oderwać ręce od narożnego słupka. Wiedziała, że jej ocalenie zależy od tego, żeby znaleźć się w środku zaoranego pola i przykucnąć tam do czasu, kiedy zauważą ogień i nadejdzie pomoc.

— Ben — szlochała — och, Ben, Ben, wybacz mi i wróć szybko.

Modliła się do syna równie gorąco, jak przedtem do Boga i w tej panice i przerażeniu pocieszała się w jakimś niewielkim stopniu myślą, że Ben może być już w drodze do domu i że wkrótce przyjdzie jej na pomoc. Żeby tylko dojść jakoś do środka pola!

Przez dłuższą chwilę stała bez ruchu, zbierając się na odwagę: musi puścić słupek, chcąc się dostać na pole. Żeby tylko pójść we właściwym kierunku. Strach ścisnął ją za gardło. Panika była dla niej od chwili utraty wzroku uczuciem nieznanym. Teraz, wygnana z domu obłąkańczą paniką, straciła zupełnie orientację w znanym sobie tak dobrze terenie.

Rozpaczliwe próbowała opanować się, chcąc, by wróciło jej poczucie kierunku. Ale tyle już razy skręcała, zbaczając ze znanych niemal na pamięć ścieżek, że nie była w stanie ustalić, gdzie się znajduje. Słyszała jednak tuż za sobą huk płomieni, czuła na twarzy żar od ognia — wiedziała więc, że nie może dłużej się wahać: trzeba puścić słupek i ruszyć naprzód. Modląc się głośno zrobiła krok do przodu, potem drugi: oddalając się od słupka słyszała przeraźliwy pisk kurcząt, ryczenie starej Bessie, krowy, zdziczałe ze strachu chrząkanie i kwiczenie świń — wszystko w tle trzasku i huku ognia.

Zrobiła następny krok, potem następny i jeszcze następny, ręce trzymając cały czas przed sobą na wypadek, gdyby napotkać miała na drodze jakąś przeszkodę. Aż wreszcie, z ulgą, poczuła pod stopami zaoraną ziemię i wiedziała już, że jest na polu i że teraz musi tylko przejść jeszcze kawałek prosto przed siebie, aż znajdzie się wystarczająco daleko w głębi pola, żeby nie mógł jej dosięgnąć ogień. Potem osunęła się na kolana, drżąc, nie będąc w stanie zrobić już ani kroku dalej.

Wracając późnym popołudniem z ciężkim sercem do domu, Ben zauważył na niebie złowróżbną lunę i odruchowo przycisnął pedał gazu. Gdy minął zakręt i wjechał na otwartą przestrzeń zobaczył wszystko jak na dłoni, potwierdziły się jego najgorsze obawy. Palił się jego dom! Ogień strzelał wysoko, zachłanne płomienie objęły już piękne stare drzewa, cedry ciągnące się wzdłuż alejki. Z sercem w gardle Ben sięgnął po walkie-talkie,



nie mogąc oderwać się od myśli o matce. Tego właśnie od lat się obawiał, ale matka wyśmiewała go, upierając się przy swojej cenionej ponad wszystko niezależności, przy swej samodzielności.

Nad głową słyszał helikopter nadający sygnały, wzywający sprzęt przeciwpożarowy i krążący kołowym ruchem nad miejscem pożaru, żeby ostrzec mieszkańców okolicznych domów i wskazać dokładną lokalizację ognia.

Następne pół godziny było dla Bena istnym horrorem. Zjeżdżały się samochody, zbiegali ze wszystkich stron ludzie, żeby pomóc sąsiadowi w nieszczęściu; ruszali się szybko, sprawnie, ale niestety przyszli za późno. Dom był już jedną tłącą się ruiną, wiekowe drzewa, zwęglone, czarne, zionęły grozą.

Uratowano stajnię i oszalałe ze strachu kurczaki, świnię i krowę. Ben stał bez słowa, wpatrując się nieprzytomnym, zrozpaczonym wzrokiem w dopalające się ruiny: wiedział, że gdzieś w tych zgłiszczach musi być jego matka.

Zakrył rękoma twarz; przyjaciele ze stacji leśnej, sąsiedzi, ludzie, którzy znali go całe życie, stali zakłopotani, wiedząc, że w takiej chwili tracą zasadność jakiegokolwiek słowa pociechy.

Przez długą bolesną chwilę trwało milczenie. Nagle jakiś mężczyzna podniósł głowę nasłuchując czegoś z oddali, po czym odłączył się szybko od grupy otaczającej Bena i ruszył w kierunku pola.

Jaskrawy reflektor jego latarki rozświetlał przed nim drogę. Mężczyzna zatrzymywał się raz po raz wciąż nasłuchując; nie chciał rozbudzać w Benie nadziei, która mogłaby okazać się potem fałszywa, ale słyszał przecież, gdzieś w powietrzu chłodnego wieczoru, głos nawołujący o pomoc.

Wreszcie znalazł ją: kupka bawełny i perkalu, twarz zwrócona ku ziemi: kuciała wspierając się na swych chudych, drżących ramionach, ostatkiem słabnącej siły wołając o pomoc.

— Ben? — wydała z siebie coś pomiędzy jękiem a szeptem, czując na twarzy światło, a potem podnoszące ją czyjeś troskliwe ramiona.

— Nie, proszę pani, to nie Ben; Nazywam się Bill Hanshaw — odrzekł mężczyzna, jeden z najmłodszych leśników, dobry przyjaciel jej syna, podnosząc ją z łatwością z ziemi, jakby nie ważyła więcej niż dziecko. — Ben tu jest. Proszę się nic nie martwić. Zabiorę panią do niego.

Szedł niosąc kobietę na rękach, nie czując wcale ciężaru jej ciała, okrążył ogrodzenie dla kurczaków i kiedy znalazł się wystarczająco blisko, krzyknął głośno:

— Znalazłem ją, Ben. Jest cała i zdrowa!

Wszyscy zamarli na moment, a potem podniósł się zgiełk radości i mężczyźni ruszyli pędem w kierunku Billa. Ben, nie ukrywając łez, wziął matkę od Billa w swoje ramiona i mocno przytulił.

— Nic ci nie jest, mamó? Och, mamó... — Głos załamał mu się i przycisnął policzek do jej policzka. — Nie jesteś ranna?

— Nie, ranna nie, tylko wystraszona. Och, Ben, taka ze mnie niezdara. Przewróciłam lampkę, próbując nałożyć klosz. Och, Ben, tak się bałam! — łkała jak małe przerażone dziecko, obejmując go drżącymi ramionami.

— Pozwól, Ben, niech zobaczą — odezwał się z tłumu doktor Parmenter, ich najbliższy sąsiad. — Połóż ją w samochodzie: obejrzę, czy nie ma żadnych oparzeń.

Słabym, acz stanowczym ruchem pani Logan odsunęła od siebie jego dłoń.

— Niech pan da spokój, doktorze, mówię przecież, że nic mi nie jest. Nie jestem poparzona. Po prostu wystraszyłam się i leciałam przed siebie jak nieprzytomna. Teraz już wszystko w porządku. — W jej drżącym głosie nie było tej siły i władczości tonu co zwykle, mimo to doktor Parmenter odsunął się od niej i lekko uśmiechnął.

— Najlepiej połóż ją do łóżka, Ben, i przez kilka dni nie pozwól wstawać; nic jej nie będzie — powiedział cicho.

— Może zawieźć ją do szpitala w Laceyville, jak pan sądzi? — Ben nie czuł się przekonany.

— Nie! — Pani Logan odzyskała jakby na chwilę swoją zwykłą energię. — Nie pójdę do żadnego szpitala.

— Z przyjemnością przyjmiemy ją do siebie, Ben. Kilka głosów dołączyło się z podobnym zaproszeniem, aż przemówiła pani Logan — głosem tak nieśmiałym i pełnym pokory, jakiego Ben nigdy jeszcze u swej dumnej matki nie słyszał.

— Myślisz, że znalazłoby się dla mnie miejsce w domu Lessie Howell? — zapytała.

Ben wstrzymał oddech i zanim zdążył odpowiedzieć, matka ciągnęła dalej tym samym dziwnie pokornym tonem: — I jak myślisz, jeżeli jest dość miejsca, to czy pozwoli mi się u siebie zatrzymać?

— Oczywiście, że tak, mamó. Jak możesz w ogóle o to pytać — odparł Ben czule.

— W takim razie dziękuję bardzo wam wszystkim, ale myślę, że jeśli Lessie zechce mnie przyjąć, do niej poszłabym najchętniej — powiedziała pani Logan i jeszcze na moment zwróciła twarz w kierunku dymiących ruin domu, który przez tyle lat pięściła i kochała. Potem, kiedy Ben usiadł koło

niej w samochodzie, złożyła drżące ręce na kolanach i skierowała twarz do przodu.

RS

## ROZDZIAŁ 16

Lessie siedziała samotnie na frontowym ganku, patrząc poprzez drogę na rozświetloną, pełną wyczekującej publiczności starą stajnię, w której za chwilę miało się rozpocząć przedstawienie.

Zdziwiła się, słysząc nagle w alei warkot wozu Bena i zacisnęła mocno obie dłonie. Czowała ostatnio na jego widok gorzką, bolesną słodycz. Podniosła się; samochód podjechał pod dom i za chwilę Ben, wyskoczywszy z niego ruszył w jej kierunku.

— Lessie, jestem z mamą — powiedział prawie szeptem. — Dom się spalił — nic z niego nie zostało.

— O Boże, jest ranna?

— Nie, to tylko szok, ale doktor Parmenter powiedział, że powinna poleżeć dwa, trzy dni w łóżku. Lessie, czy... nie mam prawa cię o to prosić, ale czy mogłabyś przyjąć ją do siebie, zanim czegoś nie zorganizuję? — mówił cichym, niepewnym głosem.

— Och, Ben, jak możesz w ogóle o to pytać?! — odparła karcącym tonem, spiesząc już w kierunku samochodu. — Tak mi przykro, pani Logan, z powodu domu, ale cudownie, że nic się pani nie stało. Proszę wejść.

— Pozwolisz mi? — zapytała pani Logan nieśmiało.

— Na miłość boską, cóż za pytanie! Czuję się urażona, gdyby poszła pani do kogo innego — oburzyła się Lessie otwierając szeroko drzwi. Wyciągnęła rękę, żeby podtrzymać kobietę i szybko cofnęła, przypomniawszy sobie o jej dumnej samodzielności.

— Chyba będziesz musiała mi pomóc, Lessie — powiedziała pani Logan. — Dziwnie się czuję będąc po tylu latach zmuszona prosić kogoś o pomoc, ale z drugiej strony, mam szczęście, że jest ktoś, kogo mogę o to poprosić.

Ben wyniósł matkę z samochodu i miał zamiar zanieść ją na rękach do domu, ale nieoczekiwanie machnął ręką w słabym geście protestu.

— Postaw mnie na ziemię, Ben. Mogę przecież chodzić — zniecierpliwiała się i Ben poczuł w tym momencie ulgę niemal tak wielką, jak kiedy Bill przyszedł z pola niosąc matkę na rękach.

Postawił ją na nogi i pani Logan chwyciła go kurczowo za ramię. Drugą rękę wyciągnęła niepewnie w stronę Lessie, chwyciła ją mocno w swoje obie dłonie: w taki sposób wprowadzili ją po schodach do domu.

— Coś ładnie pachnie — zauważyła nieśmiało pani Logan i mocno pociągnęła nosem. — Uświadomiło mi to, że od południa nie miałam nic w

ustach. Znalazłaby się dla mnie szklanka mleka i trochę chleba, Lessie? Może to przez ten głód jestem taka słaba.

Lessie zaśmiała się i podprowadziła kobietę do kuchni.

— Posiedźcie tu trochę z Benem i zjedzcie kolację — ja tymczasem przygotowuję pokój — zaprosiła.

— Na pewno nie robimy ci kłopotu? Masz już takie światowe lokatorki, bałam się, że nie znajdzie się miejsca dla starej, do niczego nie przydatnej kobiety.

— Jeszcze raz mamo powiesz coś takiego, a słowo daję, dam ci klapsa — zagroził jej Ben. Rzucił Lessie błagalne spojrzenie i uradował się widząc w jej oczach czułość i ciepło.

— Mam ci wiele do powiedzenia, Lessie, ale chyba poczekamy do czasu, aż odzyskam trochę siły. — Pani Logan usiadła na krześle przy stole, Lessie uwijała się przy piecu, a Jim i Mary Sue, skończywszy właśnie myć naczynia, z tajemniczymi minami wymknęli się z kuchni.

Oddaliwszy się na bezpieczną odległość od domu, przykucnęli koło siebie w cieniu wielkiej sosny.

— I co teraz? — wysapała Mary Sue.

— Nie wiem — odparł Jim, równie jak ona zaskoczony i zdezorientowany. — Słyszałem, jak Ben mówił, że im się dom spalił. Myślisz, że ona zamierza tu zostać? To znaczy na stałe?

— Nie znam innego miejsca, dokąd Ben mógłby ją zabrać — dokąd zgodziłaby się, żeby ją zabrał — stwierdziła z obawą Mary Sue. — Może jak wszyscy będziemy grzeczni jak aniołki i usuniemy jej się z drogi, to pozwoli Benowi ożenić się z Lessie.

— I wtedy nigdy się stąd nie wyniesie! Jezu, co za perspektywa!

Jim był szczerze wystraszony, a Mary Sue lekko drżała.

— Dla ciebie to żadna różnica, bo przecież niedługo wyjeżdżasz. Ale co z Butchem, z Ellie i ze mną? O Boże, Jim!

— Właśnie — przyznał Jim, nachmurzony. — No i co z Lessie? To by było dla Lessie nie do wytrzymania mieć ją stale na głowie, wtykającą we wszystko nos, wydającą wiecznie polecenia.

Spojrzeni w kierunku domu: przez jasno oświetlone okna kuchni widać było wszystko tak wyraźnie, jakby patrzyli na scenę w stodole po drugiej stronie drogi. Lessie niesie od strony pieca kopiate talerze z jedzeniem, stawia je przed Benem i jego matką, nalewa Benowi kawę, a sobie i matce mleko, i siada obok nich przy stole. I zobaczyli, jak Ben sięga po leżącą na stole dłoń Lessie i jak podnosi ją do ust.

— No, no — westchnęła Mary Sue, oczarowana. — Charles Boyer robił coś takiego na filmie, ale żeby Ben!

— Kocha ją, głuptasie, i jest wdzięczny, że przyjęła tę wiedźmę, jego matkę, do swojego domu. — Odparł Jim ponuro.

— No myślę, że jest wdzięczny! Ja bym jej w życiu nie przyjęła!

Jim zaśmiał się drwiąco. — Nie wiesz, dziecko, co byś zrobiła, gdybyś była zakochana. Z miłości robi się czasem różne dziwne rzeczy.

Mary Sue spojrzała na brata kątem oka, ale w cieniu nie mogła dostrzec wyrazu jego twarzy. A Jim, czując, jak pod wpływem tego, o czym pomyślał, twarz oblewa mu rumieniec, wdzięczny był drzewom za cień.

— A skąd ty możesz wiedzieć coś na ten temat? — spytała Mary Sue podejrzliwie.

— Och — odrzekł Jim niedbałym tonem. — Czytałem w książce.

— Ja też czytałam — odparła Mary Sue wstając z trawy urażona. — Lessie będzie pewnie chciała, żebyśmy przygotowali pokój dla tego starego potwora.

Jim złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie.

— Słuchaj, mała, spuść trochę z tonu, dobrze? Żebym więcej nie słyszał, jak mówisz w ten sposób o starszej kobiecie! Rozumiesz?

— A co to ma znaczyć? Kim ty jesteś, żeby mnie pouczać? — oburzyła się Mary Sue, zaskoczona.

— Jestem twoim bratem — na tyle starszym, że, jak nie będziesz umiała się zachować, mogę ci spuścić lanie — odrzekł Jim i zaraz dodał innym już tonem: — Słuchaj, Mary Sue, pamiętasz, jak mama mówiła zawsze, że kiedy trzeba zrobić coś, czego nie chcemy robić, ale czego się w żaden sposób nie da uniknąć, najrozsądniej jest to zaakceptować. A wtedy może się nawet w końcu okazać, że zaczniemy o tym inaczej myśleć i będziemy to robić z dobrej woli. Słyszałaś, jak tak nieraz mówiła?

— Oczywiście, że słyszałam. Lessie też to powtarza.

— Więc pomyśl: pani Logan musi być u nas, być może zostanie na dłużej. Może okaże się, że nie jest wcale tak źle. Tak czy inaczej, jest naszym gościem: gościom nie można okazywać niechęci. Pamiętasz? To też nam mama zawsze mówiła.

— Pamiętam. Ale nie mogę przecież kochać takiej... kobiety tak samolubnej i złośliwej jak pani Logan.

— Nikt ci nie każe jej kochać. Proszę tylko, żebyś odnosiła się do niej uprzejmie i z szacunkiem. I to nie przez wzgląd na nią, ale na Lessie. I tak nie będzie jej łatwo, nie musimy jeszcze my dolewać oliwy do ognia,

naskakując na tę — na panią Logan. Możesz to chyba zrobić dla Lessie, co? — przemawiał do niej Jim przymilnym tonem.

— Rany, no chyba! Chodźmy!

Mary Sue pobiegła przodem: po schodach na ganek i prosto do kuchni.

— Och, jesteś, Mary Sue. Zastanawiałam się... zaczęła Lessie.

— Dzień dobry, pani Logan. Jak się masz, Ben? — przywitała się Mary Sue słodkim głosem — tak słodkim, że Ben i Lessie obrzucili ją uważnym spojrzeniem; potem zapytała: — Mam przygotować dla pani Logan pokój?

— Kto to? — zainteresowała się pani Logan.

— Moja siostra, Mary Sue i mój brat, Jim — odpowiedziała Lessie, widząc Jima wchodzącego na Mary Sue do kuchni.

— Witajcie, maluchy — powiedziała pani Logan uprzejmie.

Oczy Mary Sue błysnęły złowrogim blaskiem na dźwięk słowa „maluchy”, ale Jim położył szybko rękę na jej ramieniu i zwrócił się do pani Logan miłym, grzecznym tonem: — Współczujemy pani z powodu tego, co się stało, ale miło nam, że możemy panią u siebie gościć. Mary Sue i ja przygotowujemy dla pani pokój.

Jim wyprowadził siostrę z kuchni, a Ben i Lessie, którzy rozumieli doskonale oburzenie Mary Sue faktem bycia nazwaną „maluchem”, wymienili rozbawione spojrzenia.

— Muszę przyznać, Lessie, że doskonale gotujesz — oznajmiła pani Logan, wycierając elegancko usta, kiedy ostatni kawałek ciastka zniknął z jej talerza. — Nie pamiętam, kiedy mi coś tak bardzo smakowało.

— Przepraszam, że musiałam podgrzewać, ale jedliśmy już jakiś czas temu.

Na sekundę niewidzące oczy kobiety nabrały tragicznego wyrazu i zasłoniła twarz powykrzywianymi od reumatyzmu rękoma.

— Kiedy to się stało, właśnie zaczynałam przygotowywać kolację — wyszeptła z rozpaczą.

Lessie podniosła się szybko i położyła ręce na jej drżących ramionach.

— Proszę już o tym nie myśleć, pani Logan — poprosiła ją.

— Kiedyś nazywałaś mnie ciocią Nancy — tak samo jak wszyscy młodzi we wsi — powiedziała pani Logan niepewnym głosem.

— Oczywiście, ciociu Nancy — odparła Lessie przeproszającym tonem. — Tylko jakoś — cóż, po prostu zapomniałam. Nie chciałby pani już pójść się położyć?

— Chyba tak zrobię, choć nigdy nie lubiłam kłaść się z pełnym żołądkiem — odparła pani Logan. Odsunęła się razem z krzesłem od stołu i wstała lekko się chwiejąc.

Ben natychmiast był przy niej, objął ją ramieniem i poszli, prowadzeni przez Lessie, wzdłuż szerokiego, dzielącego dom na dwie części korytarza, aż do otwartego pokoju, w którym Mary Sue i Jim kończyli właśnie ścielić wielkie, pękate łóżko.

— Dasz sobie sama radę, mamó? — spytał Ben, kiedy Mary Sue i Jim wysłizgnęli się szybko z pokoju, jakby w obawie przed jakimkolwiek kontaktem ze starszą panią.

— Oczywiście, że nie, Ben, przecież to dla mamy nowe miejsce. Ale na pewno pozwoli mi sobie pomóc. Prawda, ciociu Nancy? — powiedziała Lessie serdecznym tonem.

— Jeżeli byłabyś tak miła — zgodziła się pani Logan niechętnie.

— Zaczekaj na mnie na ganku, Ben. Dam matce nocną koszulę — powiedziała Lessie półszeptem.

Kiedy pani Logan leżała już w łóżku, Lessie pochyliła się i pocałowała ją delikatnie w policzek ze współczuciem i szczerą tkliwością.

— Jesteś dla mnie taka dobra, Lessie — dla starej podłej grzesznicy — rzekła pani Logan szorstko.

— Nie jest pani podła, ciociu Nancy, a nawet gdyby tak było, to jest pani matką Bena. Więc powinnyśmy być miłe także dla siebie nawzajem.

— Porozmawiamy o tym później, Lessie. Teraz jestem naprawdę skonana. — Rzeczywiście w jej głosie słychać było wyczerpanie — bardziej może nawet psychicznie niż fizycznie.

— Oczywiście, ciociu — odrzekła Lessie i, zgasiwszy światło, wyszła na ganek, gdzie oczekiwał ją Ben.



## ROZDZIAŁ 17

Zakończyła się poranna próba przed spektaklem najbliższego tygodnia i aktorzy rozpięchli się: część z nich pojechała do miasteczka, żeby zjeść lunch w nowym hotelu i zażyć jeszcze przed wieczornym spektaklem trochę rozrywki.

Teresa odpoczywała w pozycji pół leżącej na płóciennym składanym leżaku za stajnią — w swoim ulubionym miejscu popołudniowej „sjesty”. Słyszac nagle za plecami czyjś młody głos, podniosła głowę lekko zmarszczywszy czoło.

— Masz chwilkę czasu, Tereso? Chciałam z tobą pomówić — spytała nieśmiało Mary Sue; jej młodziutka twarzyczka o lekko zadartym nosku, pełna była powagi i napięcia.

— Oczywiście, Mary Sue. Chodź tu, usiądź koło mnie — zaprosiła Teresa, przejęta i zaskoczona poważnym tonem dziewczynki.

— Tereso, czy mogłabyś zabrać mnie ze sobą do Nowego Jorku i pomóc mi znaleźć pracę? — pytała

— Nie rozumiesz, Tereso. Jego matka nie widzi na oczy; on nie może ożenić się z Lessie i zostawić jej samej. No ale teraz, kiedy spłonął im dom i musiała sprowadzić się do nas, choć przysięgała, że nigdy tego nie zrobi...

— Mary Sue przełknęła ślinę powstrzymując łzy. — Widzisz, pani Logan powiedziała, że to nie fair, żeby obciążać Bena „bandą dzieciaków”. Więc jeśli dalej tak uważa, to my powinniśmy usunąć jej się z drogi, żeby dłużej nie stawiała sprzeciwu. Mogłabym wyjść za męża — tylko że Bud, tak jak Jim, też idzie teraz do wojska. Poza tym... pani Johnson mnie lubi, ale nie wiem, czy by nie przestała, gdybym wyszła już teraz za Buda.

— Spróbuj no tylko, dziecko, wyjść za męża za kogokolwiek, a osobiście cię przytrzymam, jak Lessie będzie ci spuszczać baty — co niewątpliwie uczyni! — oznajmiła Teresa kategorycznym tonem.

— Więc co mam zrobić? — łkała Mary Sue.

— Macie przestać się tym zamartwiać i zostawić wszystko Teresie — oświadczyła stanowczo i uśmiechnęła się. — Ted — mój mąż — nazywał mnie Pani Dobra Rada! Mówił też, że chociaż sama lubię myśleć o sobie jako siostrze miłosierdzia, ludzie czasami myślą pewnie, że wściubiam nos w nie swoje sprawy! Być może, ale intencje mam zawsze jak najlepsze! Wiesz, Mary Sue, na co służą dobre intencje?

Onieśmielona, zdezorientowana nieoczekiwanym ożywieniem Teresy, czując nagły przyływ nadziei, Mary Sue odparła: — Nie, na co?

— Do brukowania chodników w piekle — powiedziała Teresa, a iskierka w jej oczach podniosła Mary Sue na duchu. — Pocięszam się jednak, że z moich powstają na pewno chodniki najwyższej klasy!

Wstała z wyrazem tak mocnego postanowienia w oczach, że Mary Sue wykrzyknęła przestraszona: — Nie pójdziesz chyba powiedzieć Lessie o naszej rozmowie?

— Nie. Nie mam najmniejszego zamiaru poruszać z nią tego tematu — uspokoiła ją Teresa. — Mam — cóż, chyba lepszy pomysł.

Przeszły razem przez drogę, a kiedy były już w alejce, natknęły się na zmierzającego w kierunku samochodu Angusa; Teresa zawołała go.

— Zaczekasz na mnie, Andy? Mam coś, do załatwienia w miasteczku — krzyknęła.

— Jasne, Tereso. — Angus cieszył się widząc zachodzące w niej w ciągu ostatnich tygodni zmiany. Zniknął z jej oczu wyraz bezgranicznej rozpacz; jej wyczerpana, zrezygnowana szara twarz nabrała nieco życia i pokryła się delikatną, pasującą do jej urody górską opalenizną.

— Zaraz wracam — obiecała i pobiegła przez ganek do swego pokoju.

Siedząca przy oknie i wertująca scenariusz sztuki najbliższego tygodnia Caro ze zdziwieniem podniosła wzrok patrząc, jak Teresa w pośpiechu wyskakuje ze spodenek i podkoszulka.

— Witaj, pali się gdzieś? — spytała Caro i zaraz dodała zawstydzona: — Niezbyt to chyba taktowna uwaga w obecności naszej sąsiadki.

— Jadę na chwilę do miasteczka. Przywieźć ci coś? — spytała Teresa wskazując w przepastną spódnicę z kwiecistej bawełny i efektowną obcisłą bluzkę zawiązywaną z tyłu na kokardę.

— Nie, chyba że uda ci się znaleźć gdzieś dla mnie po niskiej cenie nową pamięć; ta jest kompletnie zużyta: miesza mi się bez przerwy tekst z tego tygodnia z tekstem z zeszłego!

Teresa parsknęła śmiechem i wybiegła z pokoju, zostawiając Caro uradowaną jej nagłym przypływem młodzieńczego wigoru.

Angus czekający przy limuzynie poczuł wzruszenie widząc, jak biegnie ku niemu, zatrzymując się po drodze przy zgębnionej, niepewnej Mary Sue. Ujęła dłonią brodę dziewczynki i uśmiechnęła się do niej szelmowsko.

— Głowa do góry, mała. Wszystko będzie dobrze — powiedziała wesoło. — Możesz zaufać cioci Teresie. Nim się obejrzyysz, pani Logan będzie ci jadła z ręki.

Mary Sue obejrzała się błyskawicznie za siebie wybuchając nerwowym śmiechem.

— Długo mnie nie było? — spytała Teresa wsiadając do samochodu i uśmiechnęła się do sadowiącego się obok niej Angusa.

— Nie wiem. Czekanie na ciebie to sama przyjemność. Choć, owszem, czasem każesz na siebie długo czekać — na tę Teresę, jaką byłaś dawniej.

Uśmiechnęła się do niego ciepło, z czułością.

— Pewnego dnia zobaczysz ją tuż przy swym boku — obiecała i zdążył tylko rzucić jej zdumione spojrzenie, a ona mówiła dalej z zapalem: — Chciałam z tobą porozmawiać — sam na sam. Pomyślałam, że teraz będzie dobra okazja. Chciałam porozmawiać o Lessie.

— O Lessie? — powtórzył Angus zdziwiony. — Coś u niej nie tak?

Teresa opowiedziała mu pokrótce rozmowę z Mary Sue, a kiedy skończyła, Angus spochmurniał.

— Taka sympatyczna para i tak im się cholernie nie wiedzie — przyznał. — Lessie jest urocza. Ben — cóż, to także na swój sposób porządny facet. Zdecydowanie nie pała do mnie sympatią, więc, sama rozumiesz, trudno mi rozplływać się nad nim w zachwycie, ale przyznaję, że sprawia wrażenie równego gościa.

— Dla Lessie jest tym jedynym i wymarzonym, dlatego musimy coś zrobić, żeby mogli się pobrać, i to z aprobatą i błogosławieństwem starszej pani — stwierdziła Teresa zdecydowanym tonem.

— Sprawa nie wydaje mi się łatwa, jeżeli, jak mówisz, jest aż tak bardzo przeciwna temu, żeby Ben przejął na swoje barki obowiązki Lessie — wyznał Angus.

— Ale czy ty nie rozumiesz, Andy? Może mechanizmy działania kobiecej psychiki zbyt są pokrętne jak na prosty męski rozum? To nie dzieci przeszkadzają jego matce: chodzi o Lessie.

— Toż każdy mężczyzna pod słońcem mógłby czuć się szczęśliwy biorąc ją za żonę!

— Nic nie rozumiesz! Problem nie w Lessie ani w dzieciach; problem w tym, że ktoś chce jej zabrać syna! Oczywiście sama pani Logan wierzy najprawdopodobniej, że chodzi jej o dobro Bena; o to, że Lessie obciąży go swoją rodziną. Ale, zapewniam cię, gdyby nawet Lessie była na świecie sama jak palec i tak znalazłby się jakiś argument przeciwko ich małżeństwu. Kobiety, zwłaszcza matki, to najbardziej zawzięte i egoistyczne stworzenia pod słońcem!

— Hej, to już chyba bluźnierstwo! — zaprotestował Angus.

— Żeby to widzieć, trzeba samemu być kobietą — odparła Teresa. — Matka za nic nie może pogodzić się z faktem, że jej dziecko chce zacząć własne życie. Zwłaszcza jak chodzi o syna.

Angus spojrział na nią z uśmiechem.

— Tak bardzo cię absorbuje ten problem? — zapytał, zdziwiony nieco jej zaangażowaniem.

— Oczywiście że tak! Lessie uwielbia tego osiłka! Nie powinnam go tak nazywać, wiem. W końcu to Lessie się w nim kocha nie ja, i jeśli on jej odpowiada, to o cóż więcej chodzi. Tylko żeby mogła go mieć, trzeba najpierw wymyśleć jakiś sposób na tę wiedźmę. Więc co zrobimy?

Angus, podniósłszy wysoko brwi, zamrugwał oczami.

— Nic! — odrzekł stanowczo.

— Nie mówisz tego chyba poważnie! — Teresa była oburzona.

— Powtarzam: nic nie zrobimy! Nie mamy prawa się wtrącać. Nie zapominaj, kochanie: my jesteśmy z zewnątrz. Ludzie z gór trzymają się bardzo silnie razem: nie lubią, kiedy ingeruje się w ich świat. Zresztą naprawdę nie wiem, co można by w tej sprawie zrobić. To problem Bena i Lessie i sami muszą go sobie rozwiązać.

— Nie mam zamiaru siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż ta kobieta ich zniszczy! — oznajmiła Teresa buntowniczo.

— Posłuchaj, kochanie, nie jesteś w stanie im pomóc. - Na pewno coś wymyślę! Zażożysz się? — Teresa zmrużyła oczy i spojrzęła na niego z zacięniętą szczęką; Angus dawno nauczył się, że ten wyraz twarzy należy u niej traktować bardzo poważnie.

Westchnęła i pokręciwszy głowę powiedział z uśmiechem: — Od dawna wiem, że kiedy robisz taką minę, lepiej nie wchodzić ci w drogę.

Teresa spojrzęła na niego szybko, zaniepokojona.

— Chcesz powiedzieć, że jestem bezzwzględna w realizowaniu swoich zamiarów? — spytała niepewnie.

— Powiedzmy, że działasz na ogół z determinacją — odparł lekkim tonem, skupiając uwagę na prowadzeniu wozu: w miarę jak zbliżali się do miasteczka, ruch na drodze gęstniał.

Teresa przez chwilę milczęła, potem nagle zapytała zdecydowanym tonem: — Andy, kiedy się ze mną ożenisz?

Samochód skręcił nagle gwałtownie w lewo; odzyskawszy panowanie nad kierownicą Angus rzucił jej pełne złości spojrzenie.

— To nie było śmieszne, Tereso — powiedział z wyrzutem.

— Wcale nie miało być śmieszne.

Byli już zaledwie kawałek drogi od miasteczka, ale Angus, ujrzawszy skręcającą w prawo wąską polną dróżkę, wjechał w nią i nacisnąwszy z całej siły hamulec, odwrócił się do Teresy. Jego twarz zrobiła się biała pod opalenizną; oczy mu płonęły.

— Więc co to miało znaczyć? — zapytał.

— Cóż, to było cudowne lato, Andy. No i... po prostu wydawało mi się, że lubisz mnie bardziej niż tylko trochę, ale zdaje się, że się pomyliłam. Chyba niepotrzebnie to powiedziałam...

Chwycił ją za ramiona i odwrócił gwałtownie w swoją stronę. A kiedy, nie mogąc spojrzeć mu w oczy, spuściła wzrok, potrzęsnął nią lekko.

— Spójrz na mnie, Tereso! — rozkazał jej.

Kiedy w końcu posłuchęła, wpatrywał się przez długą chwilę w jej oczy, ale wciąż nie śmiał wziąć jej w ramiona. Patrzył tylko na nią, bojąc się uwierzyć w nagły cud, który dostrzegęł już w jej spojrzeniu.

— Tereso! — odezwał się w końcu cichym, drżącym głosem — prawie szeptem. — Tereso, kochanie, moje kochanie!

Kęciki jej ust wykrzywił delikatny, niepewny uśmiech i zamknęła na moment oczy powstrzymując łzy.

— Czy to znaczy, że może się ożenisz? — wybąkała niepewnie, jak młoda dziewczyna, zdumiona i wystraszona pierwszym mocniejszym uderzeniem serca.

— Tereso — och, Tereso, czy jesteś pewna? — spytał wciąż tym samym cichym, drżącym głosem. — Już raz odebrał mi cię Ted; nie mógłbym znieść tego po raz drugi — gdyby okazało się, że to tylko czar cudownego lata.

— Przecież znasz mnie chyba, kochanie! Ted był moją pierwszą miłością; nigdy go nie zapomnę. Nie chciałbyś tego. Będzie we mnie na zawsze: „czerwone róże w grudniu”. Ale Ted nie żyje, a ja czuję się tak strasznie samotna. To... O Boże, Andy, to tak cudownie wrócić znowu do życia, wrócić z ciemności do światła. Najdroższy, tak bardzo cię kocham! To inna miłość, ale nie mniej wspinała. Mamy ze sobą tyle wspólnego; tak dobrze nam razem. Ty jesteś taki kochany i cudowny. Uwielbiam spędzać z tobą czas. Och, Andy, czy nie mogłoby nam być razem dobrze?

Nie znalazł słów, którymi potrafiłby na to odpowiedzieć. Słowa były niepotrzebne; przytulił ją mocno do siebie i całowali się z pełną tęsknoty czułością, która miała nigdy między nimi nie wygasnąć

RS

## ROZDZIAŁ 18

Było późne popołudnie. Pani Logan siedziała na frontowym ganku w głębokim staroświeckim bujanym fotelu, niewidzącą twarz zwróconą mając w stronę gór, o których wiedziała, że tam są, ale których nie oglądała od tyłu już lat i nigdy więcej oglądać nie miała. Zapadły jednak w jej świadomości tak głęboko, że wiedziała, iż do końca życia zachowa w pamięci ten bliski sercu obraz.

Z drugiej strony drogi dochodziły ją niewyraźne odgłosy: w teatrze przygotowywano się do wieczornego spektaklu. Ale oprócz tych odgłosów słyszała jeszcze — i to znacznie dobitniej — dźwięki znane jej z własnego doświadczenia. Ta pora dnia — pora powrotu do domu — to najbardziej pośepny czas; nawet dla tych, których wzrok nie odmawia, jak jej, posłuszeństwa. Dla takich zaś kobiet jak ona, które straciły własny kąt i zmuszone są mieszkać wśród obcych w obcym miejscu, ta godzina pełna jest dodatkowo bolesnej goryczy.

Usłyszała samochód Bena, który zaraz wbiegł schodami na ganek prosto do niej, i pochyliwszy się pocałował ją w policzki. Pani Logan wyciągnęła rękę i przytrzymała na moment jego twarz; potem, zawstydzona jakby własną czułością — nie miała bowiem w zwyczaju okazywać swoich uczuć — odsunęła się od niego gwałtownie.

— Dobrze się czujesz, mamó? — zapytał Ben czułym tonem.

— A jakże by inaczej? Siedzę tu jak kura na jajach: wszyscy mi usługują! — odparła, a w jej głosie był już tylko ślad dawnej szorstkości; potem szybko dodała: — Nie mogę naprawdę narzekać, Lessie i dzieci troskliwie się mną zajmują. Choć zupełnie nie mam pojęcia, dlaczego zawracają sobie głowę tak niegodziwą, dożartą babą jak ja.

— Lubią cię, mamó. — Kłamstwo z trudnością przeszło mu przez gardło.

— Ha! — prychnęła pani Logan ironicznie. — Za co miałyby mnie lubić? Chyba tylko dlatego, że są z natury życzliwsze niż tego wymaga dobre wychowanie. To naprawdę cudowne dzieciaki, Ben. Wielka szkoda, że Jim musi iść do wojska. Dawniej takich miłych młodych chłopczków nie brano tak od razu do armii. A Butch jest strasznie cichy. Też grzeczny i miły, ale w ogóle go nie widać. Gdzie on się podziewa całymi dniami?

— Zajmuje się łowieniem ryb, polowaniem i lubi samotnie włóczyć się po górach — odrzekł Ben.

— To trochę jak ty w jego wieku — skomentowała matka. Mam nadzieję, że będzie takim człowiekiem jak ty, synku.

— Będzie lepszym, mamó. Mówi, że chce zostać lekarzem.

Pani Logan uniosła brwi w zdziwieniu.

— To by musiało kosztować majątek. Kształcenie się na doktora to długa żmudna praca i trzeba na to pieniędzy — stwierdziła.

Ben lekko zacisnął szczękę.

— Lessie założyła mu konto, kiedy aktorzy wynajęli szopę — odparł dobitnie. — A pan MacDonnell zapowiedział jej już, że jest bardzo zadowolony i będzie chciał wynająć stajnię znów w przyszłym roku. Butch będzie miał pieniądze na naukę, nie martw się. Pani Logan wzruszyła lekko ramionami.

— Nie martwię się — dlaczego ja miałabym się martwić? To nie moja sprawa — odrzekła z irytacją.

Ben wyprostował się i spojrzał na nią ponuro.

— Przepraszam cię, mamó, pójdę się wymyć przed kolacją — powiedział i rozległ się na ganku, potem na schodach, jego pewny, miarowy krok.

Pani Logan siedziała dalej w gęstniejącym mroku, aż otrzeźwił ją piskliwy głosik Ellie.

— Kolacja gotowa, ciociu Nancy. Weźmiesz mnie za rękę i pomogę ci, dobrze? — poprosiła dziewczynka i mała pulchna łapka wślizgnęła się w kleszczowaty uścisk przepracowanej dłoni starej kobiety.

Lessie patrzyła w napięciu, jak Ellie prowadziła panią Logan w kierunku jej miejsca przy stole, podczas gdy Butch, Mary Sue i Jim czekali cierpliwie na swoich miejscach. Nikt nie odezwał się słowem, dopóki starsza pani nie usiadła na krześle; w tym momencie do kuchni wszedł Ben; włosy miał mokre i błyszczące, widać było na nich ślady dopiero co użytego grzebienia, w rozpiętym kołnierzu świeżej koszuli widać było masywną kolumnę spalonej słońcem szyi.

— Dzisiaj jemy kurczaka i kluski, ciociu Nancy — oznajmiła Lessie z zapalem. — Mam nadzieję, że kluski nie są zbyt twarde. Nigdy nie wychodzą mi tak dobre jak mojej matce. Może pani potrafi mi powiedzieć, co robię źle.

— Do klusek trzeba wprawy, Lessie. Twoja mama na pewno uczyła się wiele lat, zanim zaczęły jej wychodzić lekkie i miękkie — ja także — odparła pani Logan uprzejmym tonem, odczuwając wciąż wyraźnie jako pokutę fakt, że musi być prowadzona za rękę.

Zauważywszy to Ben zaczął opowiadać jakąś zabawną historyjkę, która przydarzyła mu się tego dnia w pracy; inni przyłączyli się i kolacja upłynęła bez dalszych komentarzy ze strony pani Logan.



Lessie, obserwując ją ukradkiem, zauważyła z ulgą, że w ciągu ostatnich dni apetyt pani Logan znacznie się poprawił i miała nadzieję, że może zaczyna adaptować się do nowej sytuacji.

Kiedy skończyła się kolacja, a Jim i Mary Sue, jak zwykle, zabrali się do zmywania naczyń, Ben i Lessie, odprowadziwszy matkę do łóżka, usiedli razem na ganku.

— Znalazłem dom dla siebie i matki, kochanie. Już wkrótce zostawimy cię w spokoju — zaczął Ben, ale Lessie, zakrywszy twarz rękoma, pokręciła tylko głową.

— Och, Ben, gdybym tylko umiała jakoś przełamać jej opór. Ona mnie odtrąca. Jest wyniośle uprzejma — aż do bólu. Wolałabym, żeby się ze mną kłóciła; czułabym, że jest przynajmniej bardziej sobą. — Przerwała, wystraszona swoimi słowami i zaraz pośpieszyła z wyjaśnieniem: — Och, kochanie nie tak to chciałam powiedzieć. Chodziło mi o to, że przykro mi patrzeć, jak zamyka się w sobie coraz bardziej, izoluje od świata. Chcielibyśmy, żeby było jej tu dobrze, żeby czuła się jak u siebie w domu.

— Nie możemy chyba tego od niej wymagać, kochanie — odparł Ben, przyciągając ją ku sobie. — Matka nigdy nie umiała się przystosowywać. Spróbuj zrozumieć — wiem, że niełatwo mieć do niej cierpliwość.

— To nie to. Po prostu niełatwo patrzeć, jak cierpi. — Lessie ukryła twarz w jego ramionach i przez cienkie płótno koszuli poczuł wilgoć jej łez.

Po drugiej stronie drogi opadła właśnie kurtyna po ostatnim akcie sztuki i powoli, gwarząc i śmiejąc się, widzowie zaczęli wychodzić kierując się ku swym samochodom. Aktorzy zebrali się na scenie, zmontowano długi stół i zaczęto ustawiać na nim jedzenie i napoje.

— Zapowiada się całkiem miłe przyjęcie. — Mason uśmiechnął się do Jane z błyskiem niepokoju w oczach.

Była ostatnio w jego towarzystwie onieśmielona, niechętnie zostawała z nim sam na sam, wyraźnie unikając bliższego kontaktu.

— Nie jestem w nastroju — powiedziała Jane. — Wolałabym chyba wrócić do domu.

— Zmęczona? — spytał Mason z troską w głosie.

Na sekundę podniosła na niego wzrok i zdążył zauważyć w jej oczach mglistą

chwilę uwagi. Była zarumieniona i szczęśliwa, i w tej chwili sprawiała wrażenie scenicznej piękności. Była teraz taka, jaką widywała ją zawsze publiczność: tak stopiona z odgrywaną przez siebie postacią, że właściwie już z nią tożsama.

— Mam dla was wspaniałą nowinę — obwieściła wesoło wyciągając rękę do Angusa, który ująwszy ją w swoje dwie dłonie stanął obok Teresy uśmiechając się. — Nie uwierzycie, kochani, ale to fakt: w końcu zwyciężyłam. Zmęczyłam go, nie mając już innego wyjścia zgodził się ze mną ożenić. Czy to nie cudowne?

Rozległ się śmiech, oklaski; wokół niech zrobił się nagle tłok: przyjaciele życzyli Angusowi wszystkiego dobrego, całowali Teresę. Wśród gwaru podnieconych głosów Jane stała cicho naprzeciw, obserwując ich.

Caro stała przy niej uśmiechając się, wycierając bez skrepowania nos i oczy. — Dzięki wam, niebios! To najlepsza nowina, jaką słyszałam od stu lat. Oni tak idealnie do siebie pasują. Nigdy nie wierzyłam w duchy, ale teraz mam wrażenie, jakbym widziała za ich plecami Teda dającego tym dwojgu błogosławieństwo.

Jane powiedziała cicho: — Jak ona to zrobiła?

Caro, ściągając brwi, rzuciła jej zaskoczone spojrzenie.

— Nie rozumiem, co miałaś na myśli. Każdy facet wyskoczyłby ze skóry, żeby tylko Teresa Carr zechciała na niego spojrzeć — oburzyła się.

Jane smutno pokiwała głową. — Wiem. Jest kochana i ja też za nią przepadam, ale wyraziła się „w końcu zwyciężyłam”. To zabrzmiało, jakby to ona poprosiła go o rękę.

— To był żart, oczywiście — zażartowała, żeby się nie rozplakać — zaprotestowała Caro.

Jane nabrała głęboko powietrza i wypuściła je z ciężkim westchnieniem, niemal ze szlochem.

— Ale przecież wszyscy mówili, że Angus to zadeklarowany kawaler — zauważyła w zadumie.

— Każdy mężczyzna to zadeklarowany kawaler, kochanie, dopóki nie spotka tej właściwej kobiety — zapewniła ją Caro i zastygła nagle uchwyciwszy przelotne spojrzenie, jakie Jane rzuciła w stronę śmiejącego się i składającego życzenia Masona. — Czasami nawet ta kobieta musi wprawdzie się natrudzić, zanim w końcu go poskromi i wyperswaduje mu jego kawalerstwo. Mężczyźni to strachliwe ptaszki; są ostrożni jak psy łowcze — zamiast twoich drogich, wykwintnych perfum czują w tobie zastawione na nich sidła.

— Więc co trzeba zrobić? — spytała Jane, a oczy napęłniły jej się łzami.

Caro zawahała się; poczuła dla dziewczyny współczucie.

— Chodzi o Masona, prawda, kochanie? — powiedziała cicho.

Jane drgnęła. — To tak bardzo widać? — zapytała żałośnie.

— Obawiam się, że tak — przyznała Caro bezlitośnie. To tak, jak kiedy pali ci się dom — trudno ukryć to przed sąsiadami.

— Ale czy nie ma jakiegoś sposobu... — zaczęła Jane i głos załamał jej się. Kiedy się znów odezwała, mówiła niemal ze złością. — Tylko mi nie mów, że jest dla mnie za stary! On tak twierdzi, ale to nieprawda! Jest idealny! Nikt nigdy nie będzie już tak idealny!

— Biedactwo! — powiedziała Caro cicho. — Bardzo boli, prawda?

Jane, wyrwana nagle z ponurego zamyślenia, spojrzała zdziwiona na Caro.

— Znasz to? — wybąkała.

— Znam — odparła Caro z ciężkim westchnieniem. — Miałam mniej więcej tyle lat co ty — ale nie byłam tak piękna: komedianka marząca o karierze wielkiej gwiazdy. On był typem scenicznego idola. Od początku nie miałam ani cienia szansy. Ale do tej pory pamiętam, jak bardzo bolało, kiedy ożenił się z inną. Potem rozwód i znów inna i znów rozwód, aż w końcu, mając za sobą pięć małżeństw umarł samotnie. Za każdym razem kiedy się rozwodził, w moim sercu budziła się nadzieja: stawało na tylnych łapkach skomląc jak szczeniak — głupie serce! Przez cały czas byłam głęboko przekonana, że to ja jestem tą, która może dać mu szczęście.

Zerwała się wracając nagle do rzeczywistości i rzuciła szorstko: — Hej, co to ma znaczyć? Spowiadam ci się tu z przeszłości, którą dawno już pogrzebałam. Wspomnienia mogą czasem być piekłem, jeśli się człowiek od nich nie uwolni. Moją filozofią jest nieoglądanie się nigdy za siebie — i niepatrzenie zbyt daleko w przyszłość. Dobranoc!

Odeszła; Jane stała nieruchomo, zaskoczona, poruszona do głębi.

Nadal stała w tym samym miejscu, kiedy podszedł do niej Mason i powiedział cicho: — Jesteś gotowa? Odwiozę cię do domu.

Skinęła głową bez słowa i ruszyła do wyjścia.

Siedziała w samochodzie patrząc na skapaną w świetle księżyca łąkę; nie włączając silnika Mason spojrzął na nią i powiedział:

— Cudownie, że się pobierają, nie sądzisz? Andy kochał się w niej od dawna; wiedzieli o tym od lat wszyscy chyba, którzy ich znają.

— Tak to właśnie bywa z nieodwzajemnioną miłością. Wszyscy dokoła wiedzą z wyjątkiem tego jedyne, który naprawdę się liczy — tego, którego, się kocha — powiedziała Jane cicho, nie patrząc na niego. — Caro przed chwilą powiedziała mi, że przez całe lata kochała jednego mężczyznę;

patrzyła, jak żeni się po kolei z pięcioma różnymi kobietami, rozwodzi się z nimi i wciąż czekała, z sercem na dłoni, pragnąc tak bardzo mu je ofiarować — tylko że on nic o tym nie wiedział. Straszne, prawda?

— Jane — przemówił do niej Mason cicho, głosem drżącym od czułości. — Jane, najdroższa, nie jestem zbyt cennym nabytkiem i jestem o wiele za stary; może nawet nie będę w stanie cię utrzymać, zająć się tobą, jak należy. Ale jeśli naprawdę nadal mnie chcesz, to byłbym zaszczycony mogąc się z tobą ożenić.

Jane siedziała bez słowa, bojąc się' uwierzyć w to, co słyszała. Potem bardzo ostrożnie, jakby obawiając się, że jakiś nieznacznym nawet ruch może wszystko zniszczyć, unieważnić jego słowa, odwróciła głowę i spojrzała na niego.

— Zgodziłbyś się? — wyszeptła, z takim nabożeństwem i zachwytem, z taką pokorą, że poczuł dziwną, bolesną słodycz.

Była na to tylko jedna odpowiedź. Wyciągnął ramiona i przytulił ją mocno do siebie, wymawiając z czułością i wzruszeniem jej imię, całując ją zarazem delikatnie i z tkliwą zachłannością.

## ROZDZIAŁ 19

Pani Logan siedziała na ganku z rękami założonymi bezczynnie — w sprzeczności ze swą naturą — na kolanach. Z chłodnego tylnego ganku dobiegały ją głosy dzieci pomagających Lessie i na myśl o tym, że nigdy już nie będzie mogła zająć się domowymi pracami ani ogródkiem, zaciskała usta gryząc wargę niemal do krwi.

Z ulgą przywitała odgłos lekkich kroków i za chwilę ktoś złożył jej na kolanach pachnące chłodne naręcze kwiatów i ze zdumieniem dotykać zaczęła starymi spracowanymi rękoma miękkie płatki — zupełnie jakby dotykała aksamitnych policzków ukochanego dziecka.

— Róże! — wyszeptała z niedowierzaniem. — Skąd tutaj róże pod koniec sierpnia? Jak silnie pachną! Założę się, że są czerwone. Ale nigdy nie widziałam takich łodyg. Muszą być przywiezione z bardzo daleka!

Teresa zaśmiała się cicho. — Są czerwone i przyjechały z kwaciarni w Atlancie. Poprosiłam jednego z chłopców, żeby przywiózł mi je tu dla pani. Pewien wspaniały i bardzo mądry człowiek powiedział kiedyś: „Bóg dał nam pamięć, żebyśmy mogli mieć w grudniu czerwone róże”. Co prawda dopiero sierpień, ale tu już za późno na róże — w każdym razie takie!

— To bardzo miło z pani strony — odparła pani Logan.

Teresa usiadła obok niej, położywszy rękę na kościstym starym kolanie pod długą szeleszczącą perkalową spódnicą.

— Tak naprawdę to chciałam panią przekupić — zaczęła łagodnym tonem.

Pani Logan zwróciła ku niej zdumioną twarz.

— Przekupić? — powtórzyła ze zdziwieniem.

— Jest coś, o co chciałam panią poprosić — powiedziała Teresa, starannie dobierając słowa.

— Cóż może być takiego, o co mogłaby pani prosić starą niewidomą kobietę? — pani Logan nie przestawała się dziwić. — Żartuje pani ze mnie.

— Pani Logan, ja bardzo polubiłam Lessie i dzieci — zaczęła Teresa cicho.

— Nie było to chyba trudne. To wspaniałe dzieciaki. Lessie też jest dobrą dziewczyną.

— Właśnie — podchwyciła Teresa z zapalem. — Szczególnie przywiązałam się do Ellie i chciałabym ją adoptować.

Przez chwilę pani Logan siedziała milcząc, z zaciętym wyrazem twarzy; ręce zacisnęła na różach, aż kolce zaczęły wbijać się w ciało.

— Adoptować Ellie? — powtórzyła zdziwiona. — Zabrać ją ze sobą w przyszłym tygodniu?

— Tak — powiedziała Teresa i ciągnęła dalej: — Pewnie słyszała pani, że ja i pan MacDonnell zamierzamy się pobrać. Chcielibyśmy zrobić to dla Ellie i sami bylibyśmy szczęśliwi mając ją przy sobie. Pomyślałam też, że równie dobrze możemy zabrać ze sobą Mary Sue i zadbać o jej przyszłość. Jim idzie do wojska, a więc na miejscu zostałby tylko Butch.

Pani Logan była oburzona.

— Pani Carr, chyba postradała pani zmysły! — wybuchnęła. Lessie wyrzuciłaby panią za drzwi, gdyby wiedziała, że coś takiego... Nie rozmawiała pani o tym z Lessie, prawda?

— Jeszcze nie — przyznała Teresa. — Chciałam najpierw porozmawiać z panią i mieć panią po swojej stronie.

— Marnuje pani czas! W życiu nie słyszałam o czymś równie potwornym! — stwierdziła z oburzeniem pani Logan zrzucając z kolan różę. — Toż ona poświęciła tym maluchom prawie całe swoje życie.

— A nie sądzi pani, że teraz Lessie ma prawo do własnego życia? — przerwała jej Teresa.

Pani Logan drgnęła, jakby wymierzono jej policzek.

— Co konkretnie miała pani na myśli? — zapytała poirytowana.

— Cóż, wie pani przecież, że Lessie i pani syn bardzo się kochają — zauważyła Teresa uprzejmym tonem. — Trwa to już zdaje się od czasu, kiedy byli dziećmi. A pani syn nie może chyba brać na swoje barki czyjejś rodziny.

Pani Logan wybuchnęła z wściekłością.

— Jakie pani ma prawo wtrącać się w decyzje mojego syna? Jest dorosłym mężczyzną i, podobnie jak wszyscy mężczyźni w mojej rodzinie, nie zamierza uchylać się od swoich obowiązków!

Teresa mówiła dalej cichym spokojnym głosem, ale w jej oczach pojawiły się dziwne, wesołe błyski.

— Przepraszam, pani Logan, ale właśnie dlatego zaczęłam negocjacje w tej kolejności, bo wydawało mi się, że to pani miała obiekcje co do małżeństwa syna z Lessie.

— To nie pani interes, moja droga! — powiedziała jadowitym tonem pani Logan. — Nie potrzebujemy, żeby ceprowi mówili nam, co mamy robić. Najlepiej będzie, jak wszyscy spakujecie się jak najszybciej i pojedziecie stąd! I niech pani nie wspomina nawet Lessie o adopcji Ellie. Też pomysł!

— Obawiam się, że nie mogę pani tego obiecać — powiedziała Teresa.

— Radzę pani! Gdyby Ben o tym usłyszał — a i tak nie przepada za wami — to przepełniłoby szalę! — Na ciemnej twarzy pani Logan pojawiły się czerwone plamy.

— Pani Logan, Mary Sue sama przyszła do mnie dzień po tym, jak spalił się pani dom; powiedziała, że nie pozwala pani Benowi poślubić Lessie z powodu dzieci i poprosiła, żebym zabrała ją do Nowego Jorku i pomogła znaleźć pracę. — Teresa zdecydowała się wreszcie użyć argumentu, o którym wiedziała, że musi zadać starszej pani ból — ale nie było sposobu wygarnąć jej prawdy w łagodny sposób. A prawdę w końcu usłyszeć musiała, i to całą prawdę.

— Mary Sue tak powiedziała? — spytała szeptem niemal rozpaczliwym. — Chce wyjechać dlatego, że ja tu jestem?

— Chce dać Lessie możliwość poślubienia Bena. Cóż w tym dziwnego? Młodzi mają prawo do normalnego szczęśliwego życia — odrzekła Teresa.

— Nie muszą w tym celu pozbywać się z domu dzieci. Mogą się pozbyć mnie.

Teresę poruszyło cierpienie w głosie kobiety i szybko położyła na starych drżących rękach swoje ciepłe, delikatne, dobrze utrzymane dłonie.

— Wcale nie chcą się pani pozbywać. Jest pani matką Bena i on panią kocha, a Lessie, kochając Bena, pokochałaby także panią — gdyby dała jej pani szansę — tłumaczyła jej łagodnie.

— Gdybym dała jej szansę? — wyszeptwała pani Logan, nie pojmując, co Teresa miała na myśli.

— Nie chciałabym pani ranić, ale wydaje mi się, że jest pani wystarczająco silna i uczciwa, żeby usłyszeć prawdę — powiedziała Teresa, żalując przez moment, że w ogóle zaczęła ten temat, a jednak będąc w pełni przekonaną, że trzeba to było zrobić. — Jest pani wrogo do wszystkich nastawiona, lituje się pani tylko nad samą sobą.

— To nieprawda!

— Na pewno? — drążyła Teresa bezlitośnie. — Jest pani obrażona na cały świat za to, że spłonął jej dom. To trudne, wiem. Ale czy nie zauważyła pani, jak przez te wszystkie lata Ben stale się zamartwiał, kiedy idąc do pracy zostawiał panią na cały dzień samą? Wciąż drżał, obawiając się, że to się stanie. Teraz, kiedy tak rzeczywiście się stało i nie może pani obstawać dłużej przy swej drogocennej niezależności, w pewnym sensie Ben może być spokojniejszy — nie musi się już o panią denerwować.

Pani Logan siedziała skurczona, z twarzą odwróconą od Teresy; ta wzięła głęboki oddech, nienawidząc się w tej chwili, a jednak czując, że musi ciągnąć dalej.

— Zawsze starałam się wierzyć, że kiedy spotyka nas coś złego, dzieje się tak w jakimś określonym, choć nie znanym nam celu — powiedziała łagodnym tonem. — Wiem, czasem bardzo trudno coś sobie w ten sposób wytłumaczyć. Kiedy umarł mój mąż, myślałam tylko o tym, żeby schować się w jakimś kącie i rozpaczać nad swoim nieszczęściem. I tak właśnie przez dłuższy czas było. A potem — nie będę tu pani opowiadać, jak to się stało, ale w każdym razie, z pomocą kochanego Andy'ego i moich przyjaciół, wyszłam z tego wreszcie i zrozumiałam, że życie jest jednak piękne. Nadal, co prawda, nie rozumiem, czemu służyć miała śmierć Teda, ale może któregoś dnia zrozumie; a pani może kiedyś zrozumie, dlaczego spłonął dom i dlaczego wyszła pani z tego cała. Tak, pani Logan, zamiast cierpieć, rozpaczać, powinna pani dziękować Bogu za Bena, za Lessie i za dzieciaki! Są takie kochane!

— Nie potrzebuje mi pani tego mówić! — Pani Logan była wciąż nastawiona niechętnie, ale nie tak już agresywnie.

Teresa wstała. — Przepraszam, jeśli panią zraniłam, ale czułam, że to musi zostać powiedziane, i że może pani usłyszeć to tylko z ust kogoś z zewnątrz, bo Ben i Lessie za bardzo panią kochają, by móc ją zranić, nawet jeśli chodzi o pani własne dobro.

— Moje własne dobro!

— Tak, pani Logan, chodzi o pani dobro, proszę mi wierzyć. Jest pani zdrowa i silna, przed panią jeszcze wiele lat szczęśliwego, pożytecznego życia.

— Pożytecznego? W jaki sposób stara ślepa kobieta może być w czymkolwiek przydatna? — W tym pytaniu, była już raczej rozpacz niż oburzenie.

— W taki sam sposób, w jaki przez tyle lat żyła pani samodzielnie i zajmowała się domem. Na razie jest pani w obcym miejscu, ale, przy odrobinie dobrej woli, niewiele potrzeba pani czasu, żeby się z nim oswoić!

— Będąc stale prowadzoną za rękę przez dzieci? — Jej głos pełen był goryczy.

— A czemu nie? Czy to takie upokarzające? Powinna pani być wdzięczna, że są tak chętne do pomocy. Proszę pomyśleć o tych tysiącach niewidomych, którzy, mając do dyspozycji tylko przeszkolonego psa, radzą sobie jakoś i potrafią prowadzić szczęśliwe, czynne życie.

Pani Logan zeszywniała lekko pod ukłuciem szpileczki Teresy, ale kontrolowała już w pełni swój wyraz twarzy.

— Jestem pani bardzo wdzięczna za słowa prawdy — powiedziała chłodno. — Teraz chciałabym posiedzieć trochę sama i zastanowić się.



— Ależ oczywiście — powiedziała Teresa i dodała łagodnie: — Proszę nie mieć do mnie żalu.

— Nie tracę czasu na próżne urazy — odparła pani Logan, a po chwili, kiedy Teresa już się odwróciła, powiedziała nieśmiało: — Panno Carr, byłaby pani tak uprzejma i włożyła moje róże do wody, żeby nie zwiędły?

— Oczywiście, pani Logan, z przyjemnością. — Teresa podniosła delikatnie róże z ziemi, patrząc na starą, zmęczoną twarz kobiety. — Wybacz mi pani kiedyś?

— Ludzie mają prawo mówić innym prawdę w oczy — i demaskować zło — odrzekła pani Logan ponuro. — A we mnie było zło. Byłam kobietą-potworem.

— Ale tak być nie musi — przemawiała do niej Teresa jeszcze łagodniej niż przed chwilą.

— Starego psa niełatwo nauczyć nowych sztuczek — odparowała pani Logan szorstko i zaraz szybko dodała: — Chyba że pies bardzo chce się uczyć.

Teresa zawahała się, ale widząc odwróconą twarz pani Logan, przeszła szybkim krokiem przez ganek do domu.

Po wyjściu Teresy pani Logan siedziała jeszcze długo sama z rękoma zaciśniętymi mocno na kolanach.

## ROZDZIAŁ 20

Następnego ranka Mary Sue weszła podniecona do kuchni.

— Lessie, mamy tu gdzieś jakąś dobrą mocną laskę? — zapytała.

Lessie spojrzała na nią zdumiona.

— Laskę? Po co ci laska?

— Mnie po nic — odparła Mary Sue poważnym tonem. — To ma być dla cioci Nancy.

— Ale po co, na Boga?

— Powiedziała, że dość ma siedzenia w miejscu jak kura na grzędzie i chce nauczyć się poruszać po domu sama — tak jak to robiła u siebie. I potrzebuje kawałka kija, żeby się czuć pewniej i żeby badać nim drogę przed sobą; inaczej mogłaby się wywrócić.

Przez chwilę siostry wpatrywały się w siebie.

— Mary Sue, jak myślisz, dlaczego ona chce przyzwyczajając się do tego miejsca? Ben powiedział jej wczoraj, że znalazł dla nich dom i jak tylko go umebluje, będą mogli się tam wprowadzić. Wyglądała na ucieszoną i podekscytowaną — zastanawiała się Lessie, zaniepokojona. — Ale jeżeli przyzwyczai się do naszego domu, to potem będzie musiała zaczynać wszystko od początku.

Mary Sue zawahała się, potem spytała z niepokojem: — Myślisz, że może będzie chciała tu zostać i pozwoliłoby i Benowi się pobrać?

Lessie na samą myśl o takiej możliwości wstrzymała oddech, ale widząc zmartwione wejście Mary Sue zapytała cicho: — Czy tobie i dzieciom bardzo przeszkadzałoby, gdyby chciała tu zostać?

— Nie wiem! — wyznała Mary Sue w przyływie młodzieńczej szczerości. — Boję się jej potwornie, ale — ale też trochę mi jej żal. Patrzę na nią i myślę sobie: Boże, kiedyś i ja będę stara, może też ślepa i niedołężna jak ona: i wtedy sama przyjmę z ulgą pomoc od kogoś młodego i silnego — jeśli ktoś taki się znajdzie. Jezu, Lessie, to musi być okropnie być starą i bezradną i uzależnioną od czyjejś uprzejmości, jeśli nie chce się siedzieć w bezruchu — tak jak to jest z nią, kiedy wszyscy jesteśmy zajęci i nie mamy dla niej czasu.

— Dziękuję, kochanie — powiedziała Lessie rzuciwszy jej ciepłe, mgliste spojrzenie. — Potrzebowałam tej małej lekcji. Może czegoś mnie nauczy!

Mary Sue była szczerze zdumiona.

— A któżby śmiał dawać tobie lekcje, Lessie? Ty jesteś, jak to się mówi u nas w szkole, co najmniej pierwsza klasa!

— Taki komplement to rozumiem — śmiała się Lessie. Chodźmy zobaczyć, czy jest gdzieś jeszcze jakaś laska dziadka. Zdaje się, że widziałam jedną na strychu.

Lessie grzebała przez chwilę w kącie na strychu i nagle zamachała nad głową solidną grubą laską z rzeźbioną rączką.

— Jak myślisz, Mary Sue, ta jej się spodoba? — zapytała. — Jest jeszcze gdzieś jedna bardziej ozdobna; dziadek nazywał ją „niedzielnozebraniowa”, ale tamta jest cieńsza i mniej pewna.

Mary Sue kiwnęła głową z aprobatą. — Będzie zachwycona — mam nadzieję — odparła i ruszyła schodami na dół.

Lessie czekała w chłodnym starym korytarzu; Mary Sue wyszła na ocieniony ganek do pani Logan.

— Ciociu Nancy, Lessie znalazła coś takiego — usłyszała Lessie głos Mary Sue. — Należała do dziadka; myślę, że rad byłby widząc, że ktoś jej używa.

— To będzie dla mnie zaszczyt, Mary Sue. — Lessie była zaskoczona słysząc w jej głosie dziwny zapach. — Teraz bądź tak dobra i przeprowadź mnie przez ganek, żebym mogła przeliczyć parę razy stopnie schodów. To powinno wystarczyć. Nie usuwaj z drogi żadnych sprzętów; powiedz mi tylko, gdzie co stoi, żebym mogła to obejść. Nie ma potrzeby robić z mojego powodu zamieszania. Jak tylko przyzwyczaję się do układu mieszkania, będę mogła zająć się sama sobą i nie będę musiała już was wykorzystywać.

— Nie wykorzystuje nas pani — zapewniła ją Mary Sue z powagą. — Cieszymy się, że jest pani z nami.

Pani Logan powiedziała łagodnie: — To chyba najmiłsza rzecz, jaką ktoś na moim miejscu mógłby usłyszeć. Jestem ci wdzięczna.

Lessie wróciła cichutko do kuchni i zabrała się z powrotem do pieczenia szarlotki, zastanawiając się, co też pani Logan mogła mieć na myśli. Nie doszła jednak do żadnych wniosków, kiedy w drzwiach kuchni ukazała się Caro.

— Cześć, co słyhać? — przywitała się ciepło z Lessie. — Czy będę strasznym natrętem, jeśli przyłączę się do was na obiad? Czy może wasza radość z tego, że w przyszłym tygodniu znikniemy wam z oczu, jest tak wielka, że zniesiecie nawet moje towarzystwo?

— Nie gadaj głupstw! — zaśmiała się Lessie. — Będzie mi was bardzo brakować.

Caro rzuciła jej szybkie, pełne czulej sympatii spojrzenie.

— Starsza pani nie mięknie? — spytała cicho wskazując ruchem głowy ganek, skąd dobiegały ich głosy Mary Sue i pani Logan oraz miarowe uderzenia laski o posadzkę ganku.

— Nie wiem — odparła Lessie równie cicho. — Poprosiła o laskę i chciała, żeby Mary Sue pomogła jej oprowadzając z laską po całym domu. Nie rozumiem, po co. Ben znalazł już dla nich dom i wprowadzą się, jak tylko go umebluje.

— Nie myślisz, że może to oznaczać, że chce tu jednak zostać i zgodzić się na wasz ślub? Uważasz, że to nie wchodzi w rachubę? — spytała Caro.

— Nie wiem, co myśleć, wolę nie robić sobie nadziei — odrzekła Lessie. — To... cóż, zobaczymy, co będzie.

Caro zamyśliła się. — Ludzie otaczają kultem macierzyństwo i macierzyńską miłość i pewnie tak być powinno, pewnie powinno. Ale niektóre matki sprawiają wrażenie, jakby chciały pożreć swoje dzieci — jak modliszka partnera. Tak na przykład matka Jane: wymyśliła sobie, że dziewczyna ma zostać aktorką i zupełnie nie obchodzi ją, czy sama Jane chce tego, czy nie. Albo pani Logan, próbująca za wszelką cenę zatrzymać syna przy sobie. Wybacz, Lessie, ale tak to właśnie wygląda. Pozwól, niech ci pomogę.

Pracowały razem przez chwilę, potem Lessie zwołała wszystkich na obiad i cała gromadka wtoczyła się zaraz do kuchni. Wszyscy z wyjątkiem Mary Sue i pani Logan.

Po chwili rozległ się stukot laski i weszła pani Logan, a za nią, nie podtrzymując jej, Mary Sue.

— No i patrzcie! Przeszłam tu przez ganek i cały korytarz — nikt mnie nie prowadził. Mary Sue mi pomogła, ale nie będę jej więcej potrzebować — oznajmiła z dumą. — Do krzesła też umiem sama trafić.

Badając laską drogę przed sobą posuwała się ostrożnie krok za krokiem, aż doszła do krzesła, chwyciła oparcie rękoma i usiadła, zwracając po kolei uniesioną głowę w kierunku każdego z nich z taką dumą i radością, że każde poczuło ukłucie wzruszenia.

— Nie mówcie Benowi — poprosiła, kiedy wszyscy usadowili się już przy stole. — Chcę zrobić mu niespodziankę. Zejdę mu na przywitanie o własnych siłach — po schodach i ścieżką aż do samochodu. Będzie zaskoczony.

— O, na pewno — powiedziała Caro, poklepując panią Logan po ręce. — Dzielną kobietą! Cieszę się, że mogłam panią poznać.

Pani Logan zeszywniała i przekrzywiła głowę, wsłuchując się w głos Caro.

— Z kim mam przyjemność? To nie pani Carr.

— Jestem jej przyjaciółką, nazywam się Caro Somers.

— Aktorka?

— Tak. Ma pani coś przeciwko?

— Cóż mogłabym mieć przeciwko? Lessie toleruje was jakoś przez całe lato. To nie mój interes. Jeśli tak chce, jej sprawa — nie moja — stwierdziła pani Logan opryskliwie; potem zrobiła niemal skruszoną minę. — Chyba zapomniałam, że nie jestem w swoim domu. Nie powinno mnie obchodzić, kogo Lessie u siebie przyjmuje. Miło mi panią poznać.

Caro spojrzała na Lessie i wzruszywszy ramionami, rozłożyła ręce w geście uznającym swoją porażkę. Lessie spuściła wzrok i mocno zagryzła wargi. Jeśli przez chwilę żywiła jakąś nadzieję, że pani Logan może się zmienić, teraz straciła ją definitywnie. Z jakichś sobie tylko znanych powodów pani Logan chciała zaznajomić się z ich domem, ale oczywistym było, że nie zamierzała zostać tu ani chwili dłużej, niż będzie to konieczne. Lampart nie przeobraził się wcale w baranka — był stale tym samym ponurym lampartem. Pani Logan pozostała w równym stopniu przeciwna ich małżeństwu i pozostaniu w tym domu jak do tej pory i Lessie poczuła z rozpaczą, że traci w tej chwili resztki nadziei.

## ROZDZIAŁ 21

Ben skręcił w alejkę zerkając przy tym na starą stajnię, zamkniętą już szczerlnie na zimę — wyjechała zaludniająca ją dopiero co kolorowo ubrana, wesola gromadka. Stajnia wyglądała teraz jakoś ponuro — zaryglowane drzwi, zasłonięte okiennice — ale Ben rad był w głębi duszy, że wszyscy letni goście upłynnili się. To lato wydawało mu się nieznośnie długie i z ulgą wprowadzi się z matką do nowego domu. Nie, to nieprawda — pomyślał. Wcale nie cieszy go perspektywa nowego domu. Chciałby mieszkać z Lessie i dziećmi. Razem z nią je kochać i pomagać w ich wychowaniu. Nie to, żeby potrzebowała pomocy — musiała przyznać, że radziła sobie do tej pory doskonale.

Podjechał samochodem do miejsca, w którym zwykle parkował i wyłączył motor. I wtedy, zaskoczony, nie wierząc własnym oczom, dostrzegł na ganku matkę posuwającą się ku niemu szybkimi, pewnymi krokami — wyszła mu na przywitanie, tak jak robiła to nieskończoną ilość razy, kiedy mieszkali jeszcze w swoim starym domu.

— To ty, Ben? — spytała śmiejącym się, czułym głosem, słysząc, jak szybko idzie jej na spotkanie.

— Wyszłaś całkiem sama? Możesz się przewrócić!

— Mam laskę dziadka — powiedziała z dumą. —

A dzisiaj Ellie i ja wyplewiłyśmy ogródek Lessie i wydzieliłyśmy klomb z piwoniami.

— To cudownie!

— Lessie ma teraz w domu tyle roboty: wekowanie przetworów na zimę i całą resztę. Zawsze dbałam o swoje kwiaty, a ona też ma bardzo piękny ogródek. Wiem, że nie mogę jej pomóc w kuchni, więc pomyślałam, że wyplewię ogródek i zabezpieczę kwiaty na zimę — tak jak to robiłam w domu.

Ben objął ją i na chwilę przycisnął mocno do siebie.

— Ben, czy myślisz, że w naszym ogrodzie mogły się uratować jakieś naparstnice albo trzykrotki? — wiesz, te biało-niebieskie? — spytała cicho.

— Może byśmy pojechali tam jutro rano i sprawdzili? — zaproponował Ben.

— Miałybyś czas? — zapytała podniecona.

— Jakoś wygospodaruję. Nie byłam tam od czasu pożaru — tylko raz, żeby sprawdzić, czy spłonęły wszystkie meble. Ale nie patrzyłem do ogródka.

— Więc jedźmy tam. Lessie chciałyby pewnie mieć w swoim ogrodzie kilka naparstnic: są bardzo efektowne. Może jeszcze znalazłoby się coś więcej, co mogłabym jej tu przywieźć — powiedziała uszczęśliwiona i skierowała się w stronę domu. — Do czasu jak się wymyjesz, kolacja będzie czekała na stole.

Ben ruszył w ślad za nią, ale nie pozwoliła mu się dotknąć; dumna, że z taką łatwością wchodzi po schodach, z taką pewnością siebie porusza się po korytarzu.

— Idź się wymyć, a ja pójde do kuchni i zobaczę, czy nie mogę Lessie w czymś pomóc — powiedziała radośnie.

Kiedy pojawił się w kuchni, cała rodzina siedziała już przy stole, a Ellie, oparta o kolana pani Logan, opowiadała jej coś z przejęciem — ta skupiła na małej całej uwagę.

Ben podszedł do pieca przywitać się z Lessie. Całując ją spytał cicho: — Od jak dawna?

— Od ponad tygodnia — odparła Lessie. — To zdumiewające, jak szybko się nauczyła, i znakomicie radzi sobie w ogrodzie. Nie chciała, żebyśmy ci mówili. To miała być niespodzianka.

— Oj była, była! — przyznał Ben i wzięwszy z jej rąk wielki półmisek postawił go na stole.

Wszyscy siedzieli wokół stołu w żółtym świetle lampy; nakładano sobie na talerze i w milczeniu zaspokajano pierwszy głód. Potem pani Logan odsunęła swój talerz i zwróciła twarz w stronę siedzącej naprzeciw niej Lessie.

— Wiesz, Lessie, ja nie bardzo umiem mówić „przepraszam”. Jestem upartą starą kobietą, która przez całe życie zawsze chciała stawiać na swoim, a kiedy nie wychodziło, zaczynała drapać, kopać i awanturować się jak dwuletni rozpuszczony bachor, któremu najlepiej by zrobiło solidne lanie. Ale teraz chcę to powiedzieć; tobie, Lessie, dzieciom i Benowi. Naprawdę wstyd mi, że się tak zachowywałam. Litowałam się nad sobą. Mój tata zawsze mówił, że ludzie, którzy litują się nas sobą, są żałośni i faktycznie godni politowania. I chyba miał rację.

— Jest pani dla siebie niesprawiedliwa, ciociu Nancy — Lessie szczerze się oburzyła. — Tracąc dom i cały dobytek miała pani prawo litować się nad sobą.

— Nie straciłam domu, Lessie. Straciłam tylko mieszkanie. Mój dom to Ben. Wszędzie tam, gdzie jest Ben, tam jest mój dom — przerwała jej pani Logan lekko drżącym głosem. — Bóg był dla mnie "bardzo łaskawy dając mi Bena — i może, jeśli zgadzicie się, żebym mogła tu zostać, dając mi

rodzinę. I to wspaniałą rodzinę. Pozwolicie mi być waszą babcią? Straciłam dach nad głową, ale znalazłam cudowną rodzinę — jeśli przyjmiecie mnie do swojego grona.

— Ach, ciociu Nancy, bylibyśmy bardzo szczęśliwi, prawda, dzieci? — wykrzyknęła Lessie.

— Jasne, ciociu Nancy — odezwał się Jim.

— Oczywiście! — przytaknęła gorliwie Mary Sue.

— Pewnie, że tak — dołączył się Butch, nadrabiając nieśmiałość głosu promiennym uśmiechem.

— Babcia! — wykrzyknęła Ellie z zachwytem. — Będę miała babcię tak jak inne dzieci! Zawsze chciałam babcię, ale nie myślałam, że będę ją kiedyś miała.

— Chodź do babci, kochanie. — Pani Logan przytuliła dziewczynkę i trzymała ją przez chwilę w ramionach; wszyscy zaniemówili na moment ze wzruszenia.

Dopiero pani Logan przerwała napięcie chwili zwracając moką od łez twarz w stronę Lessie i Bena.

— Przepraszam cię, Lessie. Jest mi bardzo wstyd za to, co ci powiedziałam, kiedy przysłaś mnie odwiedzić — kajała się. — Myślę, że może pożar domu miał być dla mnie karą za to, że próbowałam was rozdzielić. Ja, która przeżyłam już swoje życie, chciałam przeżyć życie za Bena — chciałam odmówić mu prawa każdego człowieka do stanowienia o własnym życiu. Gdyby Ben nie był takim dobrym chłopakiem, pewnie zostawiłby mnie samą i ożenił się z tobą, Lessie. I należałoby mi się.

— Wiesz, że nigdy bym tego nie zrobił, mamó! Wyciągnęła do niego rękę i Ben ujął ją w swoje obie dłonie.

— Nie — powiedziała cicho. — Wiem, że ty nie mógłbyś tego zrobić, nawet jeśli na coś takiego zasłużyłam. Ale teraz, jeśli mnie tutaj zniesiesz, Lessie, pragnęłabym bardzo, żebyś wyszła za ojego chłopca i żebyśmy wszyscy zamieszkali razem. Może mogłabym być w czymś pomocna. Chętnie wniosę swój skromny wkład pracy i postaram się nie być ciężarem.

— Niech pani nawet tak nie mówi, ciociu Nancy! — Lessie była już przy pani Logan po drugiej stronie stołu i objęła ją ramionami; ta przywarła do dziewczyny gwałtownie, chowając twarz w jej ramionach. — Gdyby tylko mogło pani być tutaj dobrze, ciociu Nancy, bylibyśmy wszyscy tacy szczęśliwi! Bardzo szczęśliwi!

Pani Logan wzięła w jedną dłoń rękę Lessie, w drugą rękę Bena i zwracała twarz to na jedno, to na drugie, zupełnie jak by mogła widzieć ich na własne oczy — nie tylko oczyma duszy.



— Pamiętam, Lessie, co powiedziałaś mi będąc w moim domu — wtedy, kiedy ja byłam tak niegodziwa i bezmyślna. Powiedziałaś, że ty i ja kochamy Bena i obydwie chcemy, żeby był szczęśliwy, i że on kocha nas wszystkich najbardziej, więc możemy go bardzo zranić nie będąc ze sobą w przyjaźni. Cóż, Lessie, ja ze swej strony zrobię wszystko, żeby tak było — a ty, jak zawsze, niewątpliwie jeszcze więcej. Wygląda więc na to, że wszystko powinno ułożyć się jak trzeba!

— Jak trzeba? — powtórzył Ben i wstając szybko przyciągnął do siebie Lessie i obrzucił ją uszczęśliwionym wzrokiem. — Powiedziałbym raczej: wysmienicie! Och, mamó — Lessie — dzieci...

— Huraa! — wykrzyknął Jim śmiejąc się. — Dlaczego muszę wyjeżdżać właśnie teraz, kiedy wszystko tak świetnie się układa?

Pani Logan odwróciła się do niego z zatroskanym wyrazem twarzy.

— Jim, jeśli nie chcesz iść do wojska, to może dałoby się coś w tej sprawie zrobić — zaproponowała.

Jim spojrzał na nią marszcząc czoło.

— Na przykład co? — zainteresował się.

— Nie wiem jeszcze — przyznała pani Logan. — Ale niektórym we wsi udało się zatrzymać chłopców w domu; wytłumaczyli, że są potrzebni na farmie. Tacy, którym owdowiały matki albo coś takiego.

— Dzięki, pani Logan — to znaczy babciu — powiedział Jim śmiejąc się. — Ale nie ma chyba miejsca, gdzie byłbym mniej potrzebny niż tutaj. A poza tym, ja chcę iść do wojska! Nie mogłem się już tego doczekać, tylko nie chciałem zostawiać Lessie samej w domu, bez żadnego mężczyzny. Teraz kiedy jest Ben i ty babciu, jadę z lekkim sercem!

Wszyscy uśmiechali się, tylko Lessie patrzyła na Jima z troską w oczach. Po chwili znów się odezwał: — Ale chciałbym, żebyście mi coś obiecali.

— Co takiego, dziecko? — spytała pani Logan z niepokojem.

— Żebyście mi obiecali, że kiedy wrócę, będziecie tu wszyscy razem — w tym samym składzie! — odparł Jim.

— Obiecujemy! — zakrzyknęli niemal chórem.

Ben przycisnął Lessie jeszcze mocniej i pociągnął ją za sobą z oświetlonej kuchni na tylny ganek, gdzie przez długą, cudowną chwilę mogli być sami i razem cieszyć się tym momentem, w który bali się wierzyć, że kiedyś nadejdzie, a o którym nie przestawali marzyć niemal od chwili, kiedy się poznali.

— Och, Ben! — wyszeptła, z sercem zbyt przepelnionym szczęściem, by móc wyrazić je w słowach.

— Wiem, najdroższa, wiem — odrzekł jej matowym, drżącym głosem.

Więcej nie padło między nimi ani jedno słowo..

RS

RS